STANISŁAW GRABSKI

TRZEBA SZUKAĆ DROGI WYJŚCIA...

LWÓW / WARSZAWA 1934
KSIĘGARNIA POLSKA / BERNARD POŁONIECKI

DRUKARNIA KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO — LWÓW

WSTĘP

We wszystkich niemal sprawach życia publicznego istnieją dziś u nas dwie skrajnie się sobie przeciwstawiające opinje: obozu rządowego i opozycji.

Powszechnie wiadomo, choć się to możliwie tuszuje, że między konserwatywnym a radykalnym odłamem B. B. W. R. istnieją duże różnice poglądów. I nie mniejsze też są różnice z drugiej strony: między stronnictwem socjalistycznem, ludowem, a narodowem — co więcej, między byłymi wyzwoleńcami a piastowcami wśród ludowców, między „Awangardą", „Sztafetą", „A. B. C.", „Gazetą Warszawską" w łonie obozu narodowego.

Ale „zwolennicy ideologji Marszałka" uważają za pierwszy i najważniejszy obowiązek państwowy, nigdy w niczem nie krytykować poczynań, zamiarów i osób oficjalnych, lecz się niemi zawsze zachwycać. Natomiast wszystkie stronnictwa opozycyjne uważają za pierwszy i najważniejszy obowiązek obywa-

telski negatywny stosunek wobec wszystkiego, co od rządu obecnego pochodzi.

Tak zawsze bywało w państwach policyjnie rządzonych. Obecne nasze stosunki są pod tym względem bardzo podobne do istniejących we Francji za Napoleona III.

Gdyby Polska miała zapewnionych 50 lat pokoju i gdyby nie tak bliskie sąsiedztwo państwa rewolucji społecznej — możnaby na pociechę sobie powiedzieć: przeżywamy dziś to, co już dawniej przeżywały przodujące obecnie w świecie narody zachodnio-europejskie; widocznie i my musimy przejść przez okresy „oświeconego absolutyzmu" i „walki o prawa obywatelskie", musimy sami własnem doświadczeniem i własnym wysiłkiem dojść do wszystkiego — by stać się naprawdę nowoczesnym, wielkim nietylko liczbą lecz i cywilizacją, narodem i państwem.

Ale mimo coraz liczniejszych paktów, wykluczających zbrojną napaść, nie panuje dziś w międzynarodowych stosunkach atmosfera trwałego bezpieczeństwa i pokoju.

A im dłużej trwa podział społeczeństwa od góry na prawomyślnych rządowców i antypaństwowych wywrotowców, a od dołu na serwilistycznych karjerowiczów i niezależnych w swych sądach obywateli — tem bardziej wewnętrzna spoistość narodu słab-

nie i zatraca się poczucie odpowiedzialności za przyszłość Ojczyzny, a ambicja narodowo-państwowa mas ludności maleje. Obywatele, którym nie wolno według własnego przeświadczenia wybierać zarządu stowarzyszeń, do których należą, ani radnych swej gminy — bo są już zgóry wyznaczeni kandydaci, uczą się wprawdzie posłuszeństwa władzy, ale zarazem i nieinteresowania się życiem publicznem. Będą oni zawsze tylko czekać na rozkaz — niczego nie uczynią z własnej inicjatywy, z własnego porywu patrjotycznego.

Czy mamy wszyscy razem czekać, aż po tezie państwa policyjnego przyjdzie jego antyteza: walka ludu o wolność myśli, — by wreszcie powstała i u nas synteza praworządnego państwa narodowego?

Wyczekiwanie takie może być bardzo niebezpieczne dla dalszej naszej przyszłości.

Czy nie da się tego procesu dziejowego u nas skrócić i uprościć?

Zależy to przedewszystkiem od rządzącego dziś obozu. Polska może ominąć niebezpieczny etap: załamania się rządów policyjnych pod naciskiem rosnących przeciwko nim nienawiści. Ale na to trzeba przedewszystkiem, by u góry współpraca społeczeństwa z rządem nie była rozumiana jako bierne jeno posłuszeństwo oficjalnym zaleceniom, a u dołu

niezależność myśli obywatelskiej nie była utożsamianą z przeciwstawianiem się zawsze i wszędzie polityce rządowej.

Na postępowanie góry pisarz polski nie ma dziś żadnego wpływu.

Nie zwalnia go to wszakże z obowiązku własnego postępowania w ten sposób, by w społeczeństwie, pomimo dzisiejszą naszą rzeczywistość, tak bardzo zniechęcającą do czynnej o sprawy państwowe troski, nie zanikało, a raczej rosło u ogółu obywateli poczucie odpowiedzialności każdego osobiście za przyszłość Polski.

Są sprawy, na które trzeba umieć patrzeć naprawdę bezpartyjnie, bez względu na taki czy inny stosunek do rządu, jedynie z punktu widzenia dziejowej ambicji polskiej.

Z radością możemy wszyscy to stwierdzić, że w ten sposób traktuje cała nasza opinja publiczna — sprawy siły zbrojnej i bezpieczeństwa państwa, a znakomita jej większość również politykę zagraniczną. Natomiast nasza polityka ekonomiczna jest ciągle dyskutowana z wyraźną intencją już to obrony, już też krytyki rządu.

Publicystyka współpracująca z rządem, wmawia w społeczeństwo, płytki, niezgodny z realnemi faktami życia optymizm, każe wbrew prawdzie cieszyć się,

że u nas jest lepiej niż w reszcie świata, a za wszelkie niedomagania naszego życia gospodarczego obarcza odpowiedzialnością „kryzys światowy". Naodwrót publicystyka opozycyjna wini za wszystko rząd, nawet za grzechy lekkomyślnej gospodarki samego społeczeństwa i za zarządzenia, które w danej sytuacji były naprawdę nieuniknione, przedewszystkiem zaś wini go za gorszą i uporczywszą u nas niż na zachodzie biedę, — nie wskazując jednak drogi wyjścia z tej fatalnej sytuacji.

Zapewne nie jest obowiązkiem opozycji dawać rządowi wskazówki, o które on nie prosi. Formalnie ma więc prasa opozycyjna rację, ograniczając się jedynie do krytyki rządowej polityki ekonomicznej i stwierdzając bezpodstawność oficjalnego optymizmu gospodarczego w Polsce.

Przytem niejeden sądzi, że im narazie gorzej — tem dla przyszłości lepiej, bo prędzej się skończy lekceważenie opinji narodowej.

Osobiście jestem odmiennego zdania. Bieda była zawsze w dziejach złym doradcą. Paczy ona charaktery, uczy serwilizmu jednych — budzi nienawiść w sercach drugich. Stwarza ona grunt szczególnie podatny nasamprzód dla despotyzmu, a następnie dla rewolucji.

Długotrwała bieda (a jest dziś u nas nawet nędza)

mas ludowych — to nie mniejsze od wrogiej polityki sąsiadów niebezpieczeństwo dla naszej przyszłości.

Walka z nią jest tak samo powszechnym narodowym obowiązkiem — jak walka z nieprzyjacielem zewnętrznym.

Oczywiście obowiązek jej ciąży przedewszystkiem na ekonomistach. Świadomość tego obowiązku nakazała mi napisać niniejszą książeczkę.

Nie pretenduję do uznania drogi wyjścia z dzisiejszej naszej polskiej biedy, którą w książeczce tej wskazuję, za jedyną, zbawczą... Może inni wskażą drogi odmienne, a lepsze. Pragnę tylko przekonać tych wszystkich, co się zagadnieniami życia gospodarczego u nas zajmują, że można i należy jej szukać. Bo obecny zastój produkcji i handlu to nie jest niezależny od woli ludzkiej przejaw katastrofy całej dotychczasowej cywilizacji europejskiej i jej ustroju ekonomicznego, coś, do czego trzeba się tylko umieć dostosować, ani też żywiołowa klęska, co na nas z zewnątrz przyszła i którą trzeba tylko przetrzymać, bo sama też od nas odejdzie, — ale skutek konkretnych przyczyn, które zwichnęły powszechną równowagę ekonomiczną, przedewszystkiem zaś wielkich błędów powojennej polityki ekonomicznej szeregu narodów i państw, między innemi i naszych błędów, które należy naprawić.

I.

ROK UBIEGŁY W ŚWIECIE I U NAS

W Anglji wskaźnik produkcji przemysłowej w porównaniu z 1928 r. wynosił w 1932 — 88, a w r. 1933 93. W ostatnim zaś kwartale roku przeszłego, podniósł się on nawet na 99.

We Francji tenże wskaźnik wzrósł w ciągu ubiegłego roku z 76 na 85. Przejściowo, w trzecim kwartale dochodził on tam do 87.

W Niemczech indeks produkcji przemysłowej, wynoszący w 1932 — 61, w 1933 podniósł się na 69. Przytem rośnie on tam nieustannie: w styczniu wynosił 63, w kwietniu 66, w lipcu 71, w grudniu 73.

W Stanach Zjednoczonych wzrost ten był mniej równomierny. W styczniu indeks produkcji wynosił tam 59, w lipcu 90, w grudniu 67. Przeciętny jednak za cały rok wskaźnik produkcji Stanów Zjednoczonych wzrósł w ciągu 1933 r. z 58 na 69.

I podobnie dzieje się w wielu innych krajach.

Wieszczenia o nieuchronnem zbiednieniu Europy i Północnej Ameryki nie ziszczają się.

Bezapelacyjnie w wieszczeniach tych skazywana na ruinę Anglja, odzyskała w roku ubiegłym niemal zupełnie poziom produkcji z roku najlepszej konjuktury (1928). Wraz z tem zmalała tam ilość bezrobotnych z 3,717.000 w 1931 r. na 2,264.000 w grudniu 1933, a gospodarka skarbowa dała w roku przeszłym poważną nadwyżkę dochodów nad rozchodami.

Równocześnie we Francji, Stanach Zjednoczonych, Niemczech nasamprzód ustał trwający od kilku lat spadek produkcji, a następnie zaczęło się ponowne jej ożywienie.

We Francji nie wywarło ono narazie silniejszego wpływu na rynek pracy. Nie było tam zresztą nigdy silnego bezrobocia. Ilość bezrobotnych dochodziła tam najwyżej do 300.000. W Niemczech natomiast w ciągu ubiegłego roku liczba bezrobotnych zmniejszyła się o 2 miljony (6,014.000 w styczniu, 4,058.000 w grudniu).

Propaganda narodowo-socjalistyczna poprawę sytuacji gospodarczej w Niemczech przypisuje genjuszowi Hitlera. W Stanach Zjednoczonych uważa się, iż kryzys został przełamany dzięki manipulacjom walutowym Roosevelta, zniżającym kurs banknotów dolarowych. Ale w Anglji nikt nie głosił powrotu

do ustroju stanowego i w ciągu całego ubiegłego roku kurs funta się nie zmieniał — a pomimo to skończył się już tam naprawdę zastój produkcji przemysłowej. I nastąpiła wyraźna poprawa ekonomicznego życia we Francji, choć w niczem nie naruszono podstaw tak znamiennej dla tego kraju demokracji przemysłowej, ani nie porzucono tradycyjnych dróg polityki monetarnej, starającej się nadewszystko o utrzymanie jak najpełniejszego w całym świecie zaufania do franka i Banku Francji.

W świetle tych faktów można otrząsnąć się z pesymizmu, którym tak gorliwie od kilku lat karmi się naszą opinję narodową. — Cywilizacja europejska nie ginie jeszcze. I nie ginie ustrój oparty na prywatnej własności, indywidualnej przedsiębiorczości, produkcji dla rynków i podziale pracy.

Zapewne kryzys obecny nie jest zwykłem załamaniem się konjunktury, jakie perjodycznie następowało zawsze co lat najwyżej dziesięć po okresie coraz szybszego wzrostu produkcji i cen.

Ale nie jest on niebywałą w nowoczesnych dziejach katastrofą ekonomiczną — jak się tu u nas stale z pewnej strony poucza ogół inteligencji, a szczególnie młodzież.

Europa i Ameryka przechodziły już w XIX wieku kryzysy o podobnem jak dziś natężeniu.

Pierwszy z nich to kryzys trzydziestych lat XIX wieku. Wywołane niem bezrobocie w Anglji doprowadziło do kilkuletnich rewolucyjnych zaburzeń, tak zwanych chartystów. Mniej dał się on odczuć wówczas na kontynencie. Gdy jednak mechanizacja produkcji przemysłowej, szczególnie tkactwa i obróbki metali, przyjęła większe rozmiary również we Francji i Niemczech, głęboki kryzys objął i te kraje pod koniec lat czterdziestych. Nie były też bez związku z nim rewolucje, które w 1848 roku wybuchły we wszystkich niemal europejskich krajach. W samym Paryżu było wówczas 100.000 bezrobotnych, proporcjonalnie znacznie więcej, niż ich jest dzisiaj. W połowie bowiem przeszłego stulecia miejska ludność Francji wynosiła ledwo połowę obecnej jej liczby (w 1850 r. — 9 miljonów, w 1921 — 18 miljonów). Najpodobniejszym wszakże do obecnego był kryzys lat 1873—1877. Objął on był tak samo, jak dziś, całą kulę ziemską. I tak samo, jak kryzys obecny, poprzedziła go trwająca od lat 20 stała zwyżka cen. Od 1850 po 1873 r. poziom cen wzrósł był o 38%, a od 1914 po 1928 o 40%. W przededniu jednak obu tych kryzysów nastąpił silny spadek cen rolniczych, wywołany raptownem powiększeniem rozmiaru pól uprawnych w krajach zaoceanicznej kolonizacji europejskiej wskutek wynalezienia maszyn, zmniejsza-

jących znacznie ilość koniecznych do obróbki roli i sprzętu rąk roboczych (żniwiarka-wiązałka, pług wieloskibowy, oraz młocarnia parowa w sześćdziesiątych latach XIX w., obecnie traktor).

Obydwa te kryzysy rozpoczęły się też paniką giełdową, spowodowaną niewypłacalnością banków, które finansowały głównie przemysł metalurgiczny i komunikacyjny: przed 60 laty budowę nowych linij kolejowych w środkowej Europie, obecnie produkcję automobilów i traktorów w Stanach Zjednoczonych.

I co najważniejsze, zarówno kryzys dzisiejszy, jak i wszystkie poprzednie wielkie kryzysy światowe, wywołała nadmierna inflacja kredytowa i spekulacja założycielska, spowodowana koncentracją zbyt wielkich zasobów pieniężnych: po wojnach napoleońskich w Anglji, po wojnach 1866 i 1870 r. w Niemczech, a po ostatniej wojnie światowej w Ameryce Północnej.

Zbyt hojnie udzielane kredyty wytworzyły konsumcję, przewyższającą sumę bieżących dochodów społeczeństw, konsumcję na rachunek przyszłych dochodów. Nadkonsumcja ta zaś spowodowała nadprodukcję. Ale choć produkcja rosła szybciej od siły nabywczej społeczeństw — była ona cała zakupywana i konsumowana — bo sprzedawano ją na kredyt.

I znajdowała ona zbyt po coraz wyższych cenach. Kupowano coraz więcej i coraz drożej — nie za gotówkę jednak, a za weksle lub zobowiązania spłaty ceny kupna ratami. Ale wraz z tem, rosło z roku na rok powszechne zadłużenie społeczeństw. Coraz większą część bieżących dochodów pochłaniały spłaty dawniej zaciągniętych kredytów towarowych. Aż przyszedł moment, że uszczuplone w ten sposób dochody nie starczyły na nowe w tych samych granicach zakupy.

Nadkonsumcja na kredyt trwać może tylko ograniczoną ilość lat. Skończyła się zaś ona tem raptowniej zarówno w 1873 r., jak i w 1929 r., iż silny spadek cen rolniczych, zmniejszając dochody dużego odłamu ludności niemal do połowy, zmusił ją do natychmiastowego ograniczenia swych zakupów, w szczególności zakupów narzędzi i maszyn.

I nie jest dziełem przypadku, że kryzys obecny dotknął najciężej Stany Zjednoczone i Niemcy. W krajach tych bowiem najsilniej się była rozwinęła po wojnie konsumcja na kredyt. Najodporniejszą zaś wobec kryzysu okazała się Francja. Zachowała ona bowiem do ostatniej chwili tradycyjną swą gospodarkę gotówkową. Lżejszy niż w Niemczech i Stanach, znacznie jednak ostrzejszy niż we Francji był przebieg kryzysu w Anglji. Choć bowiem społeczeń-

stwo angielskie utrzymało, podobnie jak francuskie, swą konsumcję w granicach swych bieżących dochodów, — nadmiernie jednak zaangażowało ono, narówni niemal ze Stanami, swe kapitały w długoterminowych pożyczkach, udzielanych szczególnie Niemcom na pośpieszną modernizację ich produkcji. Słusznie też jeden z najlepszych znawców historji kryzysów Lescure za naczelne źródło obecnego kryzysu uważa „nieprawdopodobne błędy, jakie na polu kredytu popełniły sztaby kapitalizmu". Powojenną bowiem inflację kredytową organizowały panujące na giełdach światowych koncerny bankowe.

W XIX w. nie było takiej jak dziś koncentracji przedsiębiorstw kredytowych. Nie było jeszcze wówczas koncernów bankowych. Każdy bank stanowił samoistne przedsiębiorstwo. Ale kryzysy trzydziestych i czterdziestych i siedmdziesiątych lat przeszłego wieku spowodowała była również przedewszystkiem inflacja kredytowa.

Geneza dzisiejszego kryzysu jest taka sama, jak i kryzysów dawniejszych.

I jak minęły dawniejsze kryzysy — tak samo minie i kryzys dzisiejszy.

W największych i najbogatszych społeczeństwach zaczęło się już wyraźne przezwyciężanie zastoju i ogólna konjunktura poprawiła się w ciągu ostat-

niego roku, wywołując wzrost produkcji o 12 do 19 procent.

Ale obok podobieństw dzisiejszego kryzysu do dawniejszych są też fakty dużej wagi, odróżniające go od kryzysów XIX wieku. Poprzednie kryzysy mijały automatycznie, gdy wskutek trwającej czas dłuższy depresji słabsze przedsiębiorstwa upadły, oddając swe rynki zbytu silniejszym, a jednocześnie następowało powszechne oddłużenie i przestawały ciążyć na bieżących dochodach społeczeństw spłaty dawniej poczynionych zakupów.

Obecny kryzys automatycznie minąć nie może.

Jeszcze w siedmdziesiątych latach ubiegłego stulecia przeważały przedsiębiorstwa indywidualne. Bankructwo jakiejś fabryki, czy jakiegoś banku było ruiną jednostki, rodziny. Ale od tego czasu upowszechniła się akcyjna forma przedsiębiorstw. Emisję zaś akcyj organizują banki. Wskutek tego wytworzyła się silna zależność całego wielko-kapitalistycznego przemysłu od finansujących je instytucyj kredytowych. Przytem stojący na czele spółek akcyjnych magnaci pieniężni, wyjątkowo angażują większość swych kapitałów w jednem przedsiębiorstwie. Zazwyczaj pracują oni nie tylko w szeregu fabryk, kopalń, banków — lecz i w kilku naraz gałęziach produkcji i handlu. Kapitalizm przeobraził się

z indywidualnego w zbiorowy, anonimowy. Odrębność i samodzielność poszczególnych przedsiębiorstw została silnie ograniczona, natomiast wszystkie fabryki, kopalnie, firmy handlowe, banki zostały związane między sobą dziesiątkami różnorodnych finansowych współzależności. I ten zbiorowy i anonimowy charakter przedsiębiorczości został jeszcze bardziej zaakcentowany przez rozwój karteli, trustów, holdingów, rozwój — silny już przed wojną w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Anglji, a po wojnie obejmujący całą kulę ziemską, nawet kraje tak przemysłowo bierne, jak Polska.

Dzięki regulowaniu produkcji przez trusty i kartele, Europa i Ameryka uniknęły wielkiego powszechnego kryzysu przedsiębiorczości przez przeszło pół stulecia. Ale, gdy kryzys taki został jednak po wojnie światowej wywołany przez nazbyt ryzykowną politykę kredytową koncernów bankowych amerykańskich i angielskich, organizacja, której jednym z głównych celów było zapobieganie kryzysom, uniemożliwia obecnie automatyczny powrót konjunktury zwyżkowej. Bo państwa dziś nie mogą już, jak lat temu 60, patrzeć obojętnie na bankructwa fabryk, a szczególnie banków, gdyż upadłość jednej firmy pociąga za sobą chwianie się wielu innych, nawet zupełnie zdrowych. I im większe przedsiębiorstwo

— tem bardziej musi je państwo ratować, by nie uległo zupełnej likwidacji; nie tylko ze względu na inne związane z niem finansowo firmy, lecz również ze względu na setki, a czasem i tysiące pracujących w niem ludzi. Po wojnie bowiem wszystkie niemal europejskie państwa uznały za swój obowiązek — zabezpieczenie niezbędnego utrzymania robotnikom, chcącym pracować, a nie mogącym znaleźć pracy. Dzięki zapomogom, wypłacanym dziś przez skarby państw bezrobotnym, oraz finansowej pomocy, udzielanej przez państwa zachwianym w ich egzystencji przedsiębiorstwom, kryzys obecny ciąży o wiele mniej od dawniejszych na masach ludności, nie wywołuje tej co poprzednio nędzy. Obciąża on jednak produkcję coraz większemi świadczeniami na rzecz państwa i udzielanej przez nie pomocy przedsiębiorstwom deficytowym, oraz masom pracującym.

To samo już utrudnia ogromnie automatyczną poprawę konjunktury.

Ostatecznie zaś ją uniemożliwia skrajnie protekcyjna polityka handlowa, którą stosują od kilku lat wszystkie państwa, nie wyłączając Anglji, by wobec kurczenia się zagranicznych rynków zbytu, zabezpieczyć przedsiębiorstwom krajowym możliwie największy zbyt na rynkach wewnętrznych. Wobec tego wszakże złudne są nadzieje tych, którzy oczekują au-

tomatycznego ożywienia naszej produkcji — gdy tylko zacznie się poprawiać konjunktura na zachodzie.

Pomimo iż poszczególne kraje podniosły w roku ubiegłym dość znacznie swą wytwórczość, konjunktura światowa jest nadal zniżkowa. Obroty na rynkach światowych, sumy wartości importu i eksportu na całym świecie maleją.

Wzrosła produkcja w szeregu najbogatszych i największych państw — ale przedewszystkiem produkcja dla ich rynków wewnętrznych.

Z takiego ożywienia konjunktury na rynkach wewnętrznych innych krajów — automatycznie my nic nie skorzystamy. Co to nam da, że we Francji wskaźnik produkcji podniósł się o 12%, gdy równocześnie import jej spadł z 580 milj. złotych w styczniu 1933 na 528 milj. w styczniu 1934 r.

Co gorsze, dziś przy powszechnem kontyngentowaniu importu nawet wzrost obrotów międzynarodowych sam przez się nam nie pomoże.

Bardzo pouczającą w tym względzie jest sprawa naszego eksportu bekonów do Anglji. W Anglji, pomimo protekcyjnej od paru lat polityki handlowej, dzięki podnoszeniu się zpowrotem siły nabywczej społeczeństwa wzrasta powoli i import. W styczniu 1933 r. wynosił on 1.498 milj. zł., w styczniu 1934 r.

1.837 milj. zł. Ale nasz eksport bekonów do Anglji mimo to maleje wskutek zmniejszania się przyznawanego nam przez nią kontyngentu przywozu.

Nasz wewnętrzny kryzys rozpoczął się już wiosną 1929 r., o rok wcześniej niż na zachodzie Europy.

I łacno się stać może, że nietylko w Anglji, ale i we Francji, Belgji, Holandji, Szwajcarji, Danji, Szwecji, nawet we Włoszech, produkcja wróci do poziomu z 1928 r. — a u nas będzie nadal trwać dzisiejsza bieda.

Rok ubiegły jest wymownem ostrzeżeniem. Ogólna wartość wykonanej w ciągu niego produkcji wzrosła w porównaniu z rokiem 1932 we Francji o 12%, w Niemczech o 13%, w Stanach o 19% — a u nas zaledwie o 3%. I gdy wskaźnik wytwórczości w roku przeszłym w porównaniu z 1928 r. doszedł w Anglji do 93, we Francji do 85, w Niemczech i w Stanach do 69 — to u nas wynosi on 55.

Cyfry te nakazują poważnie zastanowić się, czy dotychczasowa nasza polityka ekonomiczna „dostosowania się do kryzysu“, by go tylko jak najcierpliwiej „przetrwać” — jest nadal racjonalna.

* * *

Nasza polityka przetrwania opiera się na przeświadczeniu:

1) że kryzys dzisiejszy jest, podobnie jak wszystkie poprzednie, zjawiskiem przejściowem i wcześniej czy później minie;

2) że logiczną konsekwencją światowego jego charakteru jest, iż, gdy minie on w krajach przodujących w życiu gospodarczem świata, — automatycznie nastąpi ożywienie i w krajach ekonomicznie biernych, jak Polska.

Pierwsza z tych dwuch tez jest słuszna. Ministerstwa nasze Skarbu oraz Przemysłu i Handlu lepiej rozumiały zasadniczy charakter przeżywanego dziś przez świat kryzysu od tych publicystów opozycyjnych, którzy, przepowiadając katastrofę całej dzisiejszej społeczno-gospodarczej cywilizacji europejskiej, propagują nawrót do średniowiecza i samowystarczalności zamkniętych rynków krajowych.

Natomiast druga z powyżej wymienionych tez, choć niewątpliwie mająca na swe uzasadnienie całą dotychczasową historję kryzysów, — jest dziś niestety anachronizmem.

Stosunek bowiem rynków krajowych do światowych jest dziś zgoła odmienny od tego, jaki istniał nietylko w przededniu wojny światowej, lecz jeszcze w 1930 r.

Ostatnie 3 lata potworzyły taką masę przegród między państwami, tamujących międzynarodowy

obrót i towarów i kapitałów i pracy, tak dalece rozbiły rynki światowe na zamykające się w sobie i oddzielające się od reszty świata rynki poszczególnych państw i ich bloków, iż w gospodarczych międzynarodowych stosunkach momenty współpracy, które niewątpliwie dominowały w ostatnich 70 latach przed wojną, ustępują dziś na coraz dalszy plan, a biorą górę momenty walki, podobnie jak to się działo w XVII i XVIII wieku w okresie polityki merkantylnej.

I dlatego właśnie, pomimo iż od jesieni 1932 r. produkcja i siła nabywcza w największych i najbogatszych państwach się podnosi, to jednak obroty międzynarodowego handlu — jak już powiedziałem — nadal maleją.

Ożywienie swego życia gospodarczego i Anglja i Stany Zjednoczone i Niemcy osiągnęły przez wzmożenie przedewszystkiem swej własnej konsumpcji, własnych swych produktów.

Tymczasem u nas, jak stwierdził p. minister Zarzycki w swem przemówieniu z 23/I na posiedzeniu komisji budżetowej Sejmu, „poprawiło się położenie niektórych gałęzi związanych z eksportem", natomiast „zwiększenie dochodów, przeznaczonych na konsumpcję, nie nastąpiło".

I naprawdę nie tylko nie wzrosło, ale zmalało w ro-

ku ubiegłym wewnętrzne nasze spożycie artykułów najpierwszej potrzeby: soli, mięsa, cukru, zapałek, nafty...

W czasach powszechnego kontyngentowania importu nie można oczekiwać poważnej poprawy sytuacji gospodarczej kraju i przezwyciężenia kryzysu od ożywienia gałęzi produkcji związanych z eksportem, przy równoczesnym spadku, a choćby tylko zastoju konsumpcji wewnętrznej.

Pan minister handlu i przemysłu w zacytowanem przemówieniu dał szereg rad i przestróg naszym przedsiębiorcom, zalecając im tworzenie własnych płynnych rezerw, unikanie nadmiernych, obliczonych na niezwykle dobrą konjunkturę inwestycyj, ostrożne zaciąganie kredytów długoterminowych, lepszą organizację handlową, zmniejszenie wydatków administracyjnych, rozszerzanie eksportu, poleganie bardziej na własnych siłach, niż na pomocy władz państwowych.

Są to niewątpliwie rady bardzo słuszne. Jeno wydają one mi się dziś niezupełnie na czasie. Byłyby bardzo pożyteczne w czasach radosnej twórczości — ale wówczas szły z góry wręcz odmienne inspiracje. I będą one znów bardzo aktualne, — gdy będzie z czego odkładać rezerwy, gdy przedsiębiorcy będą mogli realnie myśleć o inwestycjach, gdy kredyty

będą się rozszerzać, a nie kurczyć... Dziś jednak obawa „nadmiernej zdolności produkcyjnej, jako wyniku przeinwestyzowania" jest płonna.

Chyba, że już w najbliższym czasie spodziewać się mamy podobnego choćby jak na zachodzie ożywienia gospodarczego.

Ale nie — optymizm p. ministra Zarzyckiego tak daleko nie sięgał. I słusznie. Ograniczył się on jedynie do zadowolenia z „wytrzymałości" Polski. „Nie daliśmy się". Ale zaraz następnie dodał p. minister: „Niemniej wszyscy pamiętać musimy, że jesteśmy biedni, a tu i ówdzie nawet bardzo biedni". I w tej biedzie trwać nadal — jak się zdaje — zamierzamy, aż póki sama ona nie ustanie. Bo naczelnem hasłem dzisiejszej naszej polityki ekonomicznej — to przetrwać. Za duży jej sukces uważa rząd, że „Polska wycierpiała dużo, ale nie poszła na ryzykowne eksperymenty".

Byłaby to dobra polityka „cierpieć dużo", byle nie ryzykować — gdybyśmy dzięki niej naprawdę „nie dali się".

Niestety, jednak tak nie jest. Gwałtowny spadek przyrostu naszej ludności wskazuje, że kryzys poważnie osłabił siłę żywotną naszego narodu, podważył podstawy naszej mocarstwowej przyszłości.

To strata o wiele gorsza — niż poniesiona przez

amerykańskich wierzycieli wskutek dewaluacji dolara. Bo tę stratę amerykańskich wierzycieli równoważy zysk amerykańskich dłużników, oraz właścicieli i robotników przedsiębiorstw, które zwiększyły swą produkcję o jedną piątą.

A naszego spadku urodzin nie kompensuje choćby utrzymanie przedkryzysowego poziomu skali życiowej mas robotniczych i drobnowłościańskich. Maleje przyrost ludności — a jednocześnie dziesiątki tysięcy dzieci szkolnych od roku nie mają szklanki mleka na tydzień, nie chodzą do szkoły w zimie, bo nie mają obuwia, ani ciepłej chusty.

Słusznie, bardzo słusznie powiedział p. minister Zarzycki: „Nie wolno się upajać i łudzić tem, że tu i ówdzie mamy duże bogactwa; bo te bogactwa naturalne czy wyprodukowane niewiele są warte, jeśli nie zostaną należycie wykorzystane i zamienione na wartościowy pieniądz".

Ale tak samo nie należy się upajać i tem, że nie daliśmy się — gdyż trzyma się kurs złotego *al pari* — bo niewiele jest wart kurs złotego dla tych, którym brak nawet paru groszy na sól i którzy nie są w stanie wyżywić swych dzieci — bo nie mogą zarobić choćby 50 gr. całodzienną pracą (tyle się tej zimy płaciło w lasach i na folwarkach w okolicach podgórskich Małopolski wschodniej).

Przykra to prawda — ale prawda: wbrew zapewnieniom z różnych stron i oficjalnych i nieoficjalnych — nie okazaliśmy większej od narodów zachodnich odporności na kryzys światowy; wręcz odwrotnie, ciężej go od innych przechodzimy.

Niewątpliwie najlepiej jest — gdy można, żadnych ryzykownych nie czyniąc innowacyj, stosując jedynie wypróbowane metody polityki ekonomicznej, skutecznie jednak przezwyciężać spowodowany światowym kryzysem zastój produkcji krajowej. Tak się dziś dzieje we Francji, Szwajcarji i Holandji.

Ale w tem szczęśliwem położeniu są tylko te społeczeństwa, które po wojnie ani nie pożyczały zbyt wiele od innych, ani też same nie dawały innym nadmiernych inwestycyjnych kredytów i nie wyśrubowywały u siebie powszechną na kredyt sprzedażą zbyt wysokich cen (w Niemczech, Anglji i Stanach były one w 1928 r. wyższe niż w 1914 o 40%, a we Francji o 28%), nie skoncentrowały całej swej przedsiębiorczości w rękach anonimowych potęg: karteli, trustów, koncernów i holdingów, nie ulegały sugestji amerykańskiej mechanizacji i standaryzacji produkcji, nie oparły swej polityki społecznej na kompromisie zbiorowego, anonimowego kapitalizmu z socjalizmem.

My jednak tej rozwagi nie okazaliśmy. Mieliśmy

szereg lat nazbyt radosnej twórczości za pożyczane pieniądze i nazbyt pośpiesznego wprowadzania w życie wszelkich najnowszych zagranicznych zdobyczy proletarjatu.

I mamy dziś jedno z dwojga do wyboru: albo trwać cierpliwie w obecnej naszej biedzie, pocieszając się nadzieją, że kiedyś przecie, gdy minie kryzys wszędzie indziej — to i u nas nastąpi jakaś poprawa, — albo wzorem Anglji, Stanów Zjednoczonych, Niemiec szukać drogi, którąby nas już obecnie mogła wyprowadzić z zastoju gospodarczego, pomimo dalszej na rynkach światowych stagnacji.

Osobiście jestem przekonany, że po okresie walki wszystkich z wszystkimi o najbardziej czynne bilanse płatnicze i handlowe, wróci znów międzynarodowa kooperacja ekonomiczna na wolnym w zasadzie handlu i wolnej imigracji oparta. Ale o wiele bardziej jest pewne, że, zanim to nastąpi, minie bodaj kilka dziesięcioleci przewagi, walk nad współdziałaniem państw na rynkach międzynarodowych.

A w walkach nie wygrywają słabsi.

Rynki międzynarodowe przestały być wynikowemi zaofiarowania i zapotrzebowania oraz konkurencji prywatnych przedsiębiorstw i gospodarstw różnych krajów. Są one dziś wytworem umów handlowych między państwami i przyznawanych przez te umowy

poszczególnym krajom kontyngentów przywozu, oraz preferencyj celnych.

Kto jednak sam nie może przyznawać innym krajom poważnych kontyngentów importu — bo ma zbyt małą siłę nabywczą, ten nie może też otrzymywać znaczniejszych kontyngentów dla swego eksportu. Więc jeśli będziemy nadal czekać, aż ożywienie handlu międzynarodowego automatycznie podniesie nasz wywóz i wraz z nim naszą produkcję — to będziemy czekać bardzo długo, a tymczasem wszyscy ci, co własnym wysiłkiem, choćby najryzykowniejszym, potrafili podnieść swą siłę nabywczą, zabiorą dla siebie drogą układów międzynarodowych cały przyrost międzynarodowych obrotów handlowych.

Są sytuacje, w których ten, kto nie umie niczego zaryzykować, zgóry jest na przegraną skazany. Tak bywa nietylko na wojnie — ale i w polityce ekonomicznej.

Czy jest jednak jakikolwiek sposób podniesienia siły nabywczej naszego rynku wewnętrznego — gdy 72% naszej ludności czerpie swe dochody z produkcji rolnej, a ceny produktów rolniczych na całym świecie spadły bardziej od cen przetworów przemysłowych i są dziś dwukrotnie przeszło niższe niż w 1928 roku.

U nas jednak są one jeszcze niższe niż w innych europejskich krajach.

W styczniu bieżącego roku wynosiły one w złotych:

	Waga lub ilość	Polska	Niemcy	Francja	Anglja	Włochy	Czechosłowacja
Mąka pszen.	100 kg	30,63	53,09	67,28	28	54,08	59,03
Ziemniaki	"	4,38	5,88	14,38	12,54	—	8,72
Woł. ż. wag.	1 kg	0,68	1,37	1,96	—	1,17	0,95
Wieprz. ż. w.	"	1,05	2,01	2,09	—	—	1,49
Masło	"	3,50	5,30	5,91	3,24	4,46	4,69
Jaja świeże	120 szt	13,47	34,05	32,04	26,94	29,69	—

A więc siła nabywcza naszej ludności wiejskiej jest tak mała nietylko wskutek światowej zniżki cen, ale i wskutek tego, że nasz rolnik otrzymuje za ziemniaki dwa razy mniej pieniędzy od rolnika czeskiego, a trzy razy mniej od angielskiego i francuskiego, za świnie dwa razy mniej od niemieckiego i francuskiego, za jaja prawie dwukrotnie mniej od angielskiego, włoskiego i francuskiego, a niemal trzykrotnie mniej od niemieckiego. Wewnętrzne zaś nasze ceny produktów rolniczych są tak niskie — bo maleje nieustannie siła nabywcza miast.

Co jest główną przyczyną tego spadku siły nabywczej i wsi i miast naszych?

Czy jest nią naprawdę — jak to się najczęściej mówi — wywołany kryzysem światowym spadek naszego eksportu?

Spadek ten jest niewątpliwy. Przeciętny nasz eksport miesięczny wynosił w 1928 r. — 209 milj. z., w 1929 — 234 milj. zł., w 1930 — 202 milj. zł., w 1931 — 156 milj. zł., w 1932 — 90 milj. zł., w 1933 — 80 milj. zł. Skurczył się on bardziej od naszej produkcji. Gdy indeks tej ostatniej w stosunku do 1928 r. wynosił w ubiegłym roku 55 — to eksportu naszego zaledwie 38.

Ale handel zagraniczny w naszem życiu ekonomicznem gra o wiele mniejszą rolę, niż w życiu innych europejskich narodów.

Obrót handlu zagranicznego na głowę ludności wynosił w 1931 r. w Danji — 1.764 zł., Szwajcarji 1.518 zł., Belgji 1.384 zł., Anglji 1.120 zł., Szwecji 999 zł., Francji 607 zł., Niemczech 525 z., Czechosłowacji 445 zł., Łotwie 313 zł., Estonji 279 zł., Włoszech 247 zł., Węgrzech 200 z., Rumunji 112 zł., Jugosławji 109 zł., Polsce 103 zł.

Jesteśmy więc krajem o najbardziej w całej Europie zamkniętem w obrębie swych granic współżyciu gospodarczem, krajem najdalej w Europie posuniętej samowystarczalności.

Jeśli autarkja ma być programem lepszej przy-

szłości świata — to my jesteśmy jej najbliżsi. Jeno — mimo to nasi zarabiający robotnicy mieszkają i odżywiają się gorzej od angielskich bezrobotnych. Jest to jednak tylko nawiasowa uwaga. Niezależnie zaś od tego, jak należy oceniać modne dziś w części naszej prasy hasło samowystarczalności gospodarczej, — stwierdzić trzeba, że im mniejszy jest handel zagraniczny kraju — tem mniej też dochody jego ludności zależą od wzrostu lub spadku jego eksportu.

Niewątpliwie większa u nas niż na zachodzie bieda musi więc mieć inne jeszcze poza kurczeniem się rynków światowych przyczyny. Bo — raz jeszcze powtarzam — słabszy jest związek naszego życia ekonomicznego z rynkami światowemi, niż Jugosławji, Rumunji, Węgier, Łotwy, Estonji — nie mówiąc już o zachodniej Europie.

Przytem jeśli zmalał nasz eksport — to jeszcze bardziej skurczył się nasz import. W 1928 r. wynosił on 3.362 milj. zł., w 1933 — 826 milj. zł. I gdy w roku 1928 nasz handel zagraniczny w ostatecznym swym wyniku pomniejszał zasoby pieniężne, które społeczeństwo nasze mogło przeznaczyć na konsumcję własnych swych wytworów, był bowiem dla nas deficytowy i wyprowadził z kraju na pokrycie tego deficytu 854 milj. zł., — to poczynając od 1930 r. da-

je on nam przewyżki wywozu nad wwozem i powiększa zasoby pieniężne naszego rynku wewnętrznego. A pomimo to nasza siła nabywcza z roku na rok słabnie. Naczelna tego przyczyna musi tkwić w naszem życiu wewnętrznem. Powszechny zaś w świecie spadek cen rolniczych, zastój na rynkach światowych i wywołane niem kurczenie się naszego eksportu i cały wogóle kryzys światowy tem ciężej odbija się na naszem życiu gospodarczem, im jest ono słabsze.

Jesteśmy jednym z najbiedniejszych w Europie narodów. Mamy minimalny przemysł. Jeszcze mniejszy od nas mają tylko dwa kraje w Europie: Bułgarja i Litwa. Góruje zaś nad nami procentem ludzi zatrudnionych w przemyśle Rumunja, Łotwa, Estonja; w nawskróś zdawałoby się rolniczych Węgrzech pracuje w przemyśle 20% zawodowo czynnych, u nas tylko 10%. Przeszło połowa naszej ludności to drobni włościanie, żyjący naturalną przeważnie gospodarką, produkcją dla własnych potrzeb plonów rolniczych na własnych kawałkach ziemi. Ale niestety w żadnym innym leżącym na północ od Alp kraju europejskim nie doszło rozdrobnienie gruntów i przeludnienie wsi do tych co u nas rozmiarów. Odznaczamy się wśród narodów europejskich wyjątkowo nikłym przemysłem i wyjątkowo małą ilością ziemi,

przypadającą na jedną w rolnictwie zatrudnioną osobę. W parze też z tem idzie wyjątkowo mały obieg pieniężny. Znów tylko w Bułgarji i Litwie jest on nieco mniejszy niż u nas. Natomiast we Francji wynosi on 12 razy więcej na głowę ludności.

Zawsze tak bywało na świecie, że ciężkie czasy większe zrządzały straty gospodarczo słabszym.

Być może umiemy cierpliwiej od innych, zamożniejszych narodów znosić biedę. Ale niewątpliwie bieda, wywołana przez kryzys, jest u nas dużo większa, niż na zachodzie.

Ten nadmiar biedy naszej — to już nie skutek kryzysu światowego, to wynik przyczyn krajowych, działających wewnątrz naszego państwa i społeczeństwa.

I one to wywołały początek depresji u nas już wiosną 1929 r., o rok wcześniej niż na zachodzie. Coś się u nas już wówczas pogorszyło. Zaczęło się już wówczas słabnięcie jakiegoś podstawowego czynnika naszej przedsiębiorczości. I słabnie on widocznie nadal coraz bardziej. Jest to naczelna przyczyna, która sprawia, iż pomimo znacznego już zmniejszania się ciężaru długów, zaciąganych nieopatrznie w 1927, 1928 i 1929 r. i przez państwo i przez ogół przedsiębiorstw, siła nabywcza naszego rynku wewnętrznego nie podnosi się, raczej nadal się kurczy.

Cóż to jest?

By odpowiedzieć sobie na to pytanie, spójrzmy na pierwsze u nas lata depresji, na rok 1929 i 1930. Co zaczęło u nas wówczas głównie niedomagać?

Nie eksport. Był on w 1929 r. większy niż w jakimkolwiek poprzednim roku. Wynosił — 2.813 miljonów zł., gdy w 1928 r. — 2.508 milj. zł., a w 1926 — 2.246 milj. zł. Zresztą i w 1930 r. nie eksportu nam było najbardziej brak. W tym pierwszym roku światowego kryzysu wywieźliśmy towarów za 2.433 milj. zł., t. j. zaledwie o 2,2% mniej niż w roku najlepszej konjunktury (1928). Gdy zaś zważymy, że w 1930 r. ceny hurtowe były u nas o przeszło 20% niższe niż przed dwoma laty — to widzimy, iż realne zyski, jakie w roku tym społeczeństwo nasze osiągnęło z eksportu, wzrosły, a nie zmalały.

Nie było też w tych dwuch latach 1929 i 1930 znaczniejszego spadku zarobku pracującej w przemyśle ludności. Stan zatrudnienia w górnictwie, hutnictwie, wielkim i średnim przemyśle, trzymał się wówczas na tym samym poziomie, co w poprzednich trzech latach gospodarczego rozkwitu. W wymienionych gałęziach produkcji pracowało 31 III 1926 — 576.000, 31 XII 1926 — 683.000, 31 III 1927 — 714.000, 31 XII 1927 — 789.000, 31 III 1928 — 798.000, 31 XII 1928 — 863.000, 31 III 1929 —

818.000, 31 XII 1929 — 780.000, 31 III 1930 — 725.000, 31 XII 1930 — 655.000.

I nie zmalała też wówczas nasza produkcja rolnicza, dająca wyżywienie 72% naszej ludności.

Ale pomimo to wszystko osłabła była już w 1929 r. gwałtownie siła płatnicza naszych przedsiębiorstw.

Świadczą o tem niezwykle wymownie następujące cyfry. Suma protestów wekslowych wynosiła w lipcu 1928 r. — 48 milj., w sierpniu tegoż roku 45 milj., we wrześniu 51 milj., a w styczniu 1929 już 78 milj., w marcu 94 milj., w lipcu 118 milj., w grudniu 130 milj. złotych. I przez cały 1930 r. trzymała się ona na poziomie 100 do 130 milj. miesięcznie.

Kurczenie się siły płatniczej naszych gospodarstw i przedsiębiorstw wyprzedziło u nas spadek ich produkcji. Nie wskutek spadku naszej produkcji, pod wpływem jakoby zmniejszenia się eksportu, zmalała siła nabywcza społeczeństwa. Inne było u nas następstwo faktów. Nasamprzód zaczęła maleć siła płatnicza przedsiębiorstw, zaczęły kurczyć się ich kapitały obrotowe. I brak kapitałów obrotowych był pierwszą przyczyną ograniczania u nas i rozmiarów produkcji i zakupów. Świadczy o tem choćby ten fakt, że spadek produkcji nastąpił wówczas, gdy eksport nasz jeszcze pozostawał bez zmiany (1930 r.), ale mnożyły się masowo protesty weksli. Oczywiście,

rozpoczęty w ten sposób spadek produkcji — wywoływał następnie dalszą, jeszcze gorszą zniżkę siły płatniczej społeczeństwa.

W tej chwili jest to już nierozerwalny splot fatalnych współzależności: brak kapitałów obrotowych zmusza przedsiębiorstwa do ograniczania swej produkcji i zmniejszania ilości zatrudnionych w nich robotników. A zmniejszanie się dochodów i przedsiębiorstw i robotników, pomniejsza zapotrzebowanie rynku krajowego, co znów nakazuje ograniczać do minimum produkcję. Przytem musimy odpowiednio do spadku naszych dochodów zmniejszać nasz import obcych towarów. A to znów, jak to już powiedziałem, odbija się ujemnie na przyznawanych naszemu eksportowi kontyngentach, co w dalszym ciągu wywołuje ograniczanie produkcji i kurczenie się dochodów.

Ale analiza początków naszej dzisiejszej biedy wskazuje wyraźnie, że zaczęło się to wszystko od gwałtownego spadku siły płatniczej społeczeństwa. I dopóki jej nie odrestaurujemy — nie skończy się też nasza polska bieda, choćby wszędzie naokoło kryzys minął doszczętnie i wróciło w pełni ożywienie gospodarcze.

II.

DEFLACJA

Od wiosny 1929 r. zaczęło przedsiębiorstwom naszym coraz bardziej brakować gotówki na konieczne wypłaty, pomimo że suma zeskontowanych weksli w Banku Polskim, Banku Gospodarstwa Krajowego i bankach akcyjnych nie zmalała, lecz trochę wzrosła. Wynosiła ona w 1928 r. — 1.729 milj. zł., a w r. 1929 — 1.822 milj. zł. Zwiększył się też był nieco obieg banknotów złotowych z 1.295 milj. w 1928 r. na 1.340 milj. w 1929 roku.

Ale o wiele silniej wzrosły zobowiązania płatnicze całego naszego społeczeństwa wobec zagranicy. Mieliśmy w r. 1928 przewyżki bieżących rozchodów nad dochodami w naszym obrocie płatniczym z zagranicą na sumę 1.103 milj., w tem deficytu bilansu handlowego 854 milj. Część tylko tych niedoborów wyrów-

nał dalszy przypływ kapitałów i kredytów zagranicznych. Część ich zaś musieliśmy regulować w 1929 r. gotówką. I rzeczywiście spłaciliśmy w roku tym przeszło 600 milj. zagranicznych kredytów towarowych. Zadłużenie nasze z tytułu handlu zagranicznego, wynoszące w 1929 r. — 1.152 milj., zmalało w 1930 r. do 526 milj. złotych.

Na te spłaty zużyło społeczeństwo nasze posiadane przez się znaczne jeszcze wówczas zapasy dolarów. Stanowiły one faktyczną drugą naszą walutę. Mieliśmy ich w 1928 r. na przeszło miljard złotych. Ale w ciągu 1929 r. odpłynęło ich od nas nieco ponad pół miljarda. Zapas walut zagranicznych w Banku Polskim, wynoszący w grudniu 1928 r. — 714 milj. zł., zmalał do grudnia 1929 r. na 527 milj. zł. A na 300 miljonów złotych odpłynęło zagranicę dolarów z naszego obrotu rynkowego. Te dolary stanowiły przeważnie kapitał obrotowy naszych drobnych i średnich przedsiębiorstw. O tyle więc też zmniejszyć się musiały ich obroty, ich zakupy z jednej, a produkcja z drugiej strony.

W 1930 r., wraz z rozpoczęciem się kryzysu światowego, zmniejszył się nieco przypływ do nas obcych kapitałów, a silnie natomiast wzrósł ich odpływ, tak iż suma kapitałów obcych u nas, dotychczas zwiększająca się, zaczęła maleć. Nasz obrót z zagranicą

kapitałów krótkoterminowych wykazał w miljonach złotych w roku:

	1928	1929	1930	1931
przychodu	1.570	1.399	1.149	933
rozchodu	679	847	1.595	1.368

A jednocześnie musieliśmy regulować dalsze deficyty naszego bilansu handlowego i zagranicznego obrotu pieniężnego. W 1929 r. mieliśmy bowiem znów przewyżki rozchodów nad dochodami w zagranicznym obrocie płatniczym na 600 milj. zł. I znów znaczną część tego deficytu musieliśmy w 1930 r. regulować gotówką. Pomimo iż w 1930 r. osiągnęliśmy już 187 milj. przewyżki wywozu nad wwozem, spłata deficytów przeszłorocznego niedoboru w handlu zagranicznym zabrała nam 209 milj. zł.

I odpłynęło z Polski za granicę w 1930 r. dalszych 350 milj. zł. Od 31 XII 1929 po 31 XII 1930 zapas walut i dewiz w Banku Polskim zmniejszył się z 527 milj. na 412 milj. Zatem z obiegu rynkowego ubyło dolarów na dalszych 250 miljonów złotych.

Równocześnie jednak zmalała silnie suma posiadanego przez Bank Polski złota. Skurczyła się podstawa emisji jego not. 31 XII 1929 miał Bank Polski 701 miljonów złota i 419 milj. walut i dewiz, zaliczonych do pokrycia, 31 XII 1930 już tylko 562 milj. zło-

ta i 288 milj. dewiz zaliczonych do pokrycia. W sumie pokrycie jego banknotów zmniejszyło się w ciągu 1930 r. o 270 milj. zł. I trzeba było przewidywać dalszy jego spadek. Istotnie w 1931 r. suma złota w skarbcu Banku Polskiego zmalała o 162 milj. zł., a walut i dewiz zaliczonych do pokrycia o 200 milj.

Jeszcze w 1930 r. Bank Polski wraz z bankami państwowemi i bankami komunalnemi starał się łagodzić wytworzoną przez odpływ dolarów ciasnotę na naszym rynku pieniężnym — utrzymując na zeszłorocznym poziomie eskont weksli i powiększając kredyty długoterminowe.

	w miljonach złotych			
	Eskont weksli		Kredyty długoterminowe	
	1929	1930	1929	1930
Bank Polski . .	781	758	—	—
Bank Gosp. Kraj.	254	239	413	589
Bank Rolny . .	215	213	255	347
Banki Komunalne	1.141	1.286	—	—

Szybkie jednak zmniejszanie się zasobów złota i dewiz Banku Polskiego wskutek ujemnego bilansu płatniczego Polski skłoniło rząd do wejścia z początkiem 1931 r. na drogę zdecydowanie deflacyjnej polityki walutowej i kredytowej.

Emisja banknotów złotowych wynosiła 31 XII 1930 r. — 1328 milj., 31 XII 1931 — 1.218 milj., 31 XII 1932 — 1.003 milj., 31 XII 1933 — 979 milj., 31 I 1934 — 947 milj., całkowity zaś obieg złotych wraz z bilonem 31 XII 1930 — 1.569 milj., a 31 I 1934 — 1.286 milj.

Równocześnie suma kredytów krótkoterminowych spadła z 2.790 milj. 31 XII 1930 na — 1.904 milj. 31 XII 1933.

To kurczenie się obiegu złotych i udzielanych przez banki naszych kredytów, odbiło się tem dotkliwiej na sile płatniczej społeczeństwa, że odpływ dolarów, który się był zaczął w 1929 r., trwał nadal i bodaj w przyśpieszonem nawet tempie.

Zapas obcych walut w Banku Polskim spadł z 412 milj. 31 XII 1930 r. na 82 milj. 31 I 1934. Z obiegu zaś rynkowego znikły one niemal zupełnie jeszcze przed ich dewaluacją. Bo, pomimo pozytywnego od 1930 r. bilansu handlowego, mamy wciąż jeszcze ujemny bilans płatniczy.

W 1929 r. mieliśmy w naszym wewnętrznym obrocie rynkowym 1.600 milj. w notach Banku Polskiego i bilonie, oraz koło 1.000 milj. w dolarach — razem przeszło 2½ miljarda. Obecnie dolary przestały zupełnie kursować i cały nasz obieg pieniężny, wynosi około 1.300 miljonów.

To jego skurczenie się ma tem większe znaczenie dla całego naszego życia gospodarczego, tem bardziej hamuje naszą przedsiębiorczość, że dotychczas nasz handel krajowy opiera się głównie na wypłatach gotówkowych.

W porównaniu z zagranicą, obroty naszych izb rozrachunkowych są niepomiernie małe. Wynosiły one u nas w 1930 r. 8,7 miljardów, gdy w mającej cztery razy mniej ludności Belgji — 114 miljardów, w liczniejszych o 28% Włoszech — 304 miljardów, we Francji 194 miljardów, w Niemczech 253 miljardów. A przytem suma ich zmalała w 1932 r. na 6,4 milj. Zmniejszył się też obrót czekowy w P. K. O. z 24.009 milj. w 1929 na 21.792 milj. 1932 r. I zmalały kredyty otwarte w bankach akcyjnych z 945 miljonów w 1929 r. na 533 milj. w 1932 r.

Więc szybkość obrotu pieniężnego nie wzrasta, raczej maleje u nas i nie kompensuje spadku sumy naszych środków płatniczych (pieniędzy i weksli).

Nasz obrót pieniężny od 1929 r. stale się kurczy. W 1929 i 1930 r. kurczył się on automatycznie wskutek ujemnego bilansu płatniczego. Poczynając od roku 1931, sami go poza tem świadomie kurczymy przez naszą politykę deflacyjną.

Na tem głównie polega nasze „dostosowywanie się do kryzysu". Słyszałem jednak twierdzenie, wypo-

wiadane ze strony bliskiej miarodajnych w naszej polityce ekonomicznej czynników, że deflacja jest dziś u nas tylko pozorna, — suma bowiem środków płatniczych zmalała nie więcej od spadku cen i transakcyj handlowych; poprostu więc dostosowała się ona do ich zapotrzebowania.

Zawsze suma znajdujących się w obiegu rynkowym pieniędzy, pomnożona przez szybkość obrotu, równa się sumie dokonanych w danym czasie i kraju wypłat, a więc i wypłat za zakupione towary, t. j. cenie ich, pomnożonej przez ich ilość.

Na fakcie tym opiera się ilościowa teorja wartości pieniądza, tłumacząca zmiany cen zmianami obiegu pieniężnego.

Wiele faktów, a szczególnie już przebieg obecnego kryzysu przemawia przeciwko niej. Nie zmieniła się gwałtownie w 1929 r. ani ilość wydobywanego na świecie złota, ani suma emisyj banknotów. A jednak ceny, które od 1900 r. ciągle rosły, zaczęły w 1929 r. raptownie spadać. Więc spadek ten wywołały czynniki, leżące poza obiegiem pieniężnym.

Teorja ilościowa jest zbyt jednostronna. Stwierdza ona fakt niewątpliwie prawdziwy, iż istnieje ścisła wspózależność zmian w obiegu pieniężnym z ruchem cen i ilością ofiarowanych towarów. Ale niesłusznie uważa za pierwotne zawsze zmiany obiegu

pieniężnego i zaofiarowania towarów — a za wtórne zmiany cen. Bo często bywa odwrotnie. Wzrost cen, wskutek choćby szybkiego podnoszenia się płac roboczych, przy równoczesnem powiększaniu się zapotrzebowania towarów, spowodowanem przez spekulację założycielską, wywołuje dziś z reguły zwiększoną emisję banknotów i rozszerzenie krótkoterminowego kredytu.

Lecz jeśli nieraz obieg pieniężny dostosowuje się do ruchu cen, oraz zmian zaofiarowania i zapotrzebowania towarów, — nie znaczy to jednak bynajmniej, by nigdy nie działo się tak, jak uczy teorja ilościowa, i zmiany cen oraz konsumcji i produkcji nie wypływały ze zmian obiegu pieniężnego.

Aftalion wykazał zupełnie ściśle, że w dziejach powojennej inflacji banknotów frankowych, istnieją dwa silnie odcinające się od siebie okresy: pierwszy, w którym wzrost obiegu pieniężnego wywoływał zwyżkę cen, i okres drugi, w którym, wręcz odwrotnie, zwyżka cen wytwarzała coraz większe zapotrzebowanie środków płatniczych i zmuszała Bank Francji do rozszerzania swych kredytów oraz emisji swych not.

Tak samo zresztą działo się i u nas w czasach markowych. Początkowo emisja ich na potrzeby przedewszystkiem wojenne i odbudowy kraju, rosła szyb-

ciej od poziomu cen i wskutek tego ogólna suma reprezentowanej przez nie wartości powiększała się, podnosząc siłę płatniczą społeczeństwa. Ale już w końcu 1922 r., wskutek powszechnej ucieczki od pieniądza, ceny zaczęły szybciej się podnosić od ilości pieniędzy i, mimo coraz szybszego wzrostu emisyj marek, siła nabywcza ogólnej ich sumy malała. Mieliśmy więc niedawno inflację pieniężną, wywołującą wzrost cen i zaofiarowania towarów, i inflację, wywoływaną przez wzrost cen, oraz zapotrzebowania towarów.

I tak samo może istnieć dwojakiego rodzaju deflacja, spowodowana spadkiem cen i kurczeniem się produkcji, oraz wywołująca zniżkę cen i zapotrzebowania towarów.

Któraż z nich ma dziś u nas naprawdę miejsce? W biurach Ministerstwa Skarbu opowiada się o ukrytych jakoby wielkich u nas sumach złota. Ale jest to już niezmienna psychologja tych biur. Zawsze krążyły i krążą tam legendy o jakichś ukrytych dochodach i majątkach społeczeństwa, które jedynie niepoczciwość obywateli ukrywa przed władzami skarbowemi.

Nie przeczę. Jest u nas pewna ilość ludzi, lokujących swe oszczędności w złocie albo w bankach zagranicznych i trzymających je poza obrotem rynkowym. Ale ludzi tych jest u nas o wiele mniej, niż

na zachodzie. Bodaj czy jest ich parę tysięcy. I te ich schowane oszczędności są naprawdę nieduże. Bo rekrutują się ci nasi Harpagoni wyjątkowo z pośród właścicieli przedsiębiorstw: przemysłowców, kupców i rolników. Są to niemal wyłącznie posiadacze intratnych synekur, oraz ludzie zarabiający własną pracą ponad przeciętną w danym zawodzie miarę: wybitni inżynierowie, lekarze, adwokaci — wobec powszechnej dziś niepewności losu odkładający na czarną godzinę. Ale dochody i naszych sław fachowych są dziś naprawdę dość skromne. A że zniżka skali życiowej może wywołać niekorzystne dla każdego z nich komentarze, — więc nie tak znów wiele mogą oni odkładać i ukrywać.

Te „pochowane kapitały" nie stanowią poważnej sumy.

Natomiast bardzo poważną sumę stanowią zaległości podatkowe i płacone od nich procenty zwłoki. Poważną też, dużą stratę ponoszą nasze gospodarstwa i przedsiębiorstwa wskutek przymusowych egzekucyj.

Żaden jednak przedsiębiorca nie zalega dziś z podatkami i nie dopuszcza do egzekucyj przymusowych swych zobowiązań płatniczych, jeśli tylko ma potrzebną dla ich uiszczenia gotówkę.

Każdy, kto się styka bezpośrednio z życiem gospo-

darczem, a nie jedynie w urzędach państwowych, wie dobrze, że ogółowi naszych gospodarstw i przedsiębiorstw, obecnie brak najbardziej ze wszystkiego — pieniędzy.

Brak pieniędzy małorolnym gospodarzom nieraz nawet na sól. Brak pieniędzy właścicielom folwarków i średnich przedsiębiorstw przemysłowych na regularne płacenie podatków. Brak pieniędzy naszym eksporterom na udzielanie zagranicznym swym odbiorcom kredytów. I to jest też jeden z powodów kurczenia się naszego wywozu, pomimo niższych u nas kosztów produkcji szeregu towarów.

I ten powszechny brak pieniędzy nie słabnie, lecz ciągle jeszcze się wzmaga, jak o tem wymownie świadczy rosnąca z kwartału na kwartał suma zaległości podatkowych.

Bo zmniejsza się ciągle nasz obieg pieniężny — wskutek deflacyjnej polityki Banku Polskiego i banków państwowych.

Właściwy cel jej — to obrona złotego.

Nauczone doświadczeniem 1925 r. — rozumieją to dziś już wszystkie kierownicze nasze instancje, że kurs banknotu niewymienialnego na złoto, zależy o wiele bardziej niż banknotów wymienialnych od bilansu płatniczego kraju.

W razie bowiem przewyżki wypłat zagranicznych

nad zagranicznemi wpływami pieniężnemi posiadacze banknotów wymienialnych, mający do uregulowania zagraniczne zobowiązania płatnicze, a nie znajdujący na krajowym rynku pieniężnym odpowiednich dewiz po normalnym kursie, wymieniają w banku emisyjnym swe banknoty na złoto. Posiadacze wszakże niewymienialnych banknotów, muszą w takim razie kupować dewizy po wyższym od normalnego kursie i kurs waluty krajowej spada.

By zapobiec tej ewentualności, Bank Polski od 4 lat pokrywa całe wynikające z deficytów naszego bilansu płatniczego zapotrzebowanie obcych dewiz.

Początkowo zużywał on w tym celu posiadane przez się zapasy zagranicznych pieniędzy i należytości. Jak już mówiłem, od początku 1929 r. po początek 1934 r. poszło w ten sposób z zapasów tych za granicę 667 miljonów złotych.

Ale nie starczyło nagromadzonych w Banku Polskim walut i dewiz, by przez cały ten czas pokrywać w pełni zapotrzebowanie na naszych giełdach. Trzeba było co jakiś czas, w miarę wyczerpywania się ich zasobów, — powiększać ich portfel. Więc kupował je Bank Polski za posiadane w swym skarbcu złoto. Od 1929 po 1934 r. zapasy złota Banku Polskiego zmniejszyły się o 223 miljonów złotych.

Wraz z tem, zgodnie ze swym statutem, musiał

Bank Polski zmniejszać też swoją emisję not, by zapobiec spadkowi ich pokrycia poniżej ustawowego minimum.

Kurs złotego został utrzymany, gdy wielu walut znacznie bogatszych i silniejszych ekonomicznie krajów zachwiał się.

Ale Anglja nie wyszła źle na spadku kursu funta poniżej równi złota. Zmalały, obliczane w złocie, koszty produkcji jej przedsiębiorstw, pomimo iż płace robocze nietylko nominalnie, lecz i realnie nie obniżyły się. Siła bowiem nabywcza banknotu funtowego na rynku wewnętrznym pozostała bez zmiany. Pozwoliło to przemysłowcom angielskim oferować taniej swe wytwory na rynkach zagranicznych i w ten sposób powiększyć produkcję na eksport. A wraz z tem rosła i siła nabywcza rynku wewnętrznego, gdyż zwiększała się suma zarobków robotniczych i przychodów fabryk. Zrezygnowała Anglja narazie z tradycyjnej swej roli światowego bankiera — ale wzamian zapobiegła dalszemu spadkowi swej produkcji i stworzyła podstawę ponownego jej wzrostu po konferencji w Ottawie i ściślejszem zespoleniu się z dominjami przez wspólny system celny.

Nie da się też zaprzeczyć, że przeprowadzona przez prezydenta Roosevelta dewaluacja dolara daje w wyniku znaczne ożywienie przedsiębiorczości w St. Zj.

Wobec tego nasuwa się samo przez się pytanie: czy korzyści, jakie nam daje kurs *al pari* złotego są większe od strat, powodowanych przez politykę deflacyjną?

By nie być źle zrozumianym, stwierdzam odrazu, jeszcze przed rozważeniem tego pytania, że postawienie jego nie ma na celu krytyki dotychczasowej obrony złotego.

Bo bronić kursu złotego musimy — tak samo jak muszą Niemcy bronić kursu swej marki.

Przykładu Anglji i Stanów Zjednoczonych naśladować nie możemy.

Zniżka kursu waluty może dać dobre rezultaty tylko wtedy, gdy da się ona z całą pewnością utrzymać na zgóry zamierzonym poziomie.

Możliwe to jest tylko w społeczeństwach, mających głębokie, niezachwiane zaufanie do swej waluty i swych banków emisyjnych. Takiem jest społeczeństwo angielskie i północno-amerykańskie.

Ale, gdzie ogół ludności ma w swej świeżej pamięci spowodowaną przez deprecjację papierowego pieniądza utratę wszystkich niemal oszczędności, zarówno trzymanych w gotówce, jak ulokowanych w bankach, kasach oszczędności, na hipotekach i w papierach wartościowych — tam nikt prawie nie uwierzy, że bank emisyjny rozmyślnie dopuścił do

zniżki kursu swych not, by uzyskać przez to określone jakieś dla gospodarczego życia kraju korzyści, lecz ogół ludności będzie w tem widział zachwianie się waluty i straci natychmiast wszelkie do niej zaufanie. A nieuchronną konsekwencją tego będzie ucieczka od własnego pieniądza, wycofywanie wkładów bankowych i oszczędnościowych, kupowanie i tezauryzowanie złota, oraz obcych walut, spekulacja terenowa i walutowa, co znów wywoła dalszy spadek kursu krajowych banknotów i t. d., aż do zupełnej ich deprecjacji.

Nawet dzisiejszy narodowo-socjalistyczny rząd niemiecki, pomimo wielkiego autorytetu, jakim się cieszy w masach ludności, i olbrzymiej karności społeczeństwa niemieckiego — nie odważa się na częściową deprecjację marki — choć deprecjacja taka pomogłaby mu bardzo w usilnych jego zabiegach o rozszerzenie zbytu przetworów niemieckiego przemysłu na rynkach zagranicznych. Bo zbyt dobrze tam wszyscy pamiętają, że gdy marka zaczęła spadać — to spadała coraz niżej w coraz szybszem tempie i niczem nie było można tego jej spadku zatrzymać.

Tem mniej moglibyśmy my sobie na podobne ożywienie naszej przedsiębiorczości pozwolić. Niewątpliwie spadek kursu złotego spowodowałby w pierw-

szej chwili ożywienie nietylko naszego eksportu, ale i handlu wewnętrznego wskutek zmniejszenia się oszczędności i zwiększenia się zapotrzebowania szeregu towarów, szczególnie posiadających trwałą wartość. Ale ożywienie to byłoby bardzo krótkotrwałe. Już po kilku miesiącach tezauryzacja złota i obcych walut zmniejszyłaby obieg pieniężny na rynkach towarowych. A przytem nad całem naszem życiem społeczno-gospodarczem, bynajmniej nie odznaczającem się silnemi podstawami i dużą równowagą, zapanowałaby powszechna niepewność jutra, zabijająca zdrową przedsiębiorczość, a sprzyjająca jedynie niesumiennej spekulacji.

Więc trzeba było i trzeba nadal bronić kursu *al pari* złotego. I w latach poprzednich nie było innego poza deflacją realnie w ówczesnych naszych warunkach możliwego sposobu jego obrony.

Osobiście też w artykułach swych i odczytach w r. 1932 usilnie zalecałem jak największą oszczędność i ograniczanie wydatków nie tylko państwa i samorządów miejskich, lecz również ogółu naszych przedsiębiorstw, i wraz z tem znaczne zacieśnienie kredytów.

Ale deflacja, podobnie jak inflacja, im dłużej trwa — tem większe powoduje straty. Początkowo były one znacznie niższe od tych, jakieby wywołał spadek

kursu złotego. Dziś napewno tego już twierdzić nie można. Przytem, niedługo już można będzie ją tak, jak dotychczas, prowadzić.

W ciągu 4 lat zużył Bank Polski na obronę kursu swych not z posiadanych w końcu 1929 r. — 1.228 milj. złota, walut zagranicznych i dewiz 668 milj., a więc przeszło połowę. Dalszych 4 lat trwać taka polityka nie może. Bo jest granica, poniżej której zmniejszać obiegu pieniężnego żadną miarą nie można. A jesteśmy już od niej bardzo niedaleko. I gdy do niej dojdziemy — Bank Polski, by móc nadal za posiadane przez się złoto nabywać obce dewizy, konieczne dla wyrównania deficytowych naszych rachunków z zagranicą, — będzie musiał zmniejszać stopniowo pokrycie kruszcowe swych not. Ale i to zmniejszanie pokrycia kruszcowego banknotów nie może trwać w nieskończoność. I ono musi mieć kres.

A wobec tego trzeba już dziś — gdy się nawet uzna, że dotychczasowa nasza polityka deflacyjna była z możliwych w tym czasie w naszych warunkach najlepszą — poważnie się zastanowić, czy niema innej, mniej kosztownej drogi obrony złotego. Bo deflacja doszła już do granicy, poza którą staje się równie szkodliwą jak spadek kursu złotego, — a niezadługo będzie nawet od niego szkodliwszą, absolutnie uniemożliwiając przełamanie zastoju na rynkach

krajowych i niepomiernie utrudniając wykorzystanie przez nasze przedsiębiorstwa wskutek braku kapitałów obrotowych poprawy konjunktury w krajach zachodnich. A co jeszcze ważniejsze — już bardzo niedługo da się ona kontynuować. Bez względu na obecne zamiary rządu, trzeba będzie niezadługo ją poniechać. Ale jeśli poniechamy ją — nie mając dokładnie opracowanej innej metody utrzymania kursu złotego na równi złota — to kurs ten się załamie. A do tego nie trzeba dopuścić.

By jednak dać ścisłą odpowiedź na postawione pytanie, czy i jakie są możliwości utrzymania kursu złotego bez dalszej deflacji — musimy nasamprzód zdać sobie dokładnie sprawę z przemian, jakim uległ w ostatnich latach banknot. Bo jest on dziś czemś mocno różnem od tego, czem był nietylko przed wojną, lecz i w r. 1924, gdyśmy tworzyli Bank Polski, a nawet jeszcze w 1927 r., gdy się stabilizowało wartość złotego na dzisiejszym poziomie. Jak wielką jest dzisiejsza jego istoty przemiana — świadczy o tem choćby zestawienie tych dwuch faktów: kurs banknotów dolarowych, mimo zupełnie wystarczającego pokrycia złotem, wynosi dziś około 60% nominalnej ich wartości, a kurs marki niemieckiej trzymał się na równi złota przez długie miesiące, przy pokryciu nie dochodzącem do 10%.

III.

POWOJENNE PRZEMIANY BANKNOTU

Przed wojną światową w większości państw europejskich kursowało więcej monet złotych, niż banknotów.

W 1913 roku w Niemczech złoto, przechowywane w bankach emisyjnych jako pokrycie banknotów, wynosiło 1.430 milj. marek, a będące w obiegu w formie monet — 2.750 milj. We Francji leżało w banku emisyjnym złota za 2.849 milj. marek, a monet złotych kursowało na 3.037 milj.

W większości też państw nie było obowiązku przyjmowania banknotów. Natomiast banki emisyjne były obowiązane wymieniać na każde żądanie swe noty na złoto.

Przytem pokrycie złotem banknotów wynosiło normalnie od 70% do 80%. Emisja Banku Rzeszy Niemieckiej równała się w 1911 r. — 1.663 milj. marek — a jej pokrycie złotem 1.350 miljonów.

Istniała więc wówczas naprawdę złota waluta. — Większość wypłat dokonywana była w złocie. Tylko dla drobnych wypłat, nie przekraczających 20 franków, czy też 20 koron lub marek, istniały obok bilonu w krajach unji łacińskiej (Francja, Belgja, Włochy, Szwajcarja, Grecja) srebrne pięciofrankówki, w Austro-Węgrzech srebrne guldeny, a w Rzeszy Niemieckiej srebrne talary. Banknotami zaś posługiwano się z reguły tylko przy większych transakcjach. Bo też dopiero na kilka lat przed wojną (1906) zostało dozwolone Bankowi Niemieckiemu emitowanie not 20 i 50-markowych. Poprzednio najmniejsze jego noty opiewały na 100 marek.

Z chwilą wybuchu wojny wszystkie biorące w niej udział państwa 1) zawiesiły obowiązek banków emisyjnych wymiany swych not na złoto, 2) wprowadziły przymusowy kurs banknotów, 3) zaczęły wszelkiemi sposobami ściągać do kas skarbowych istniejące w obiegu monety złote, by mieć je dla niezbędnych wypłat zagranicznych, 4) w kraju zaś pokrywały coraz większe wydatki na prowadzenie wojny coraz hojniej wypuszczanemi przez banki emisyjne banknotami.

Wraz z tem zmniejszało się oczywiście pokrycie kruszcowe banknotów. W Niemczech emisja banknotów wynosiła w 1913 — 2.593 milj. marek przy po-

kryciu złotem w 81%, w 1918 wzrosła ona do 22.187 milj., a pokrycie jej spadło do 7%.

Naprawdę wszystkie państwa wojujące wprowadziły u siebie pieniądz papierowy. Złoto i srebro znikło zupełnie z obiegu. A banknot stał się papierem niewymienialnym na złoto, papierem, którego kurs ledwo w paru procentach był zabezpieczony zasobami złota banków emisyjnych. Główną podstawą jego siły nabywczej był nadany mu przez państwo charakter legalnego środka wszelkich wypłat.

Papierowe franki francuskie i belgijskie, korony, marki, liry 1917 i 1918 r., choć zachowały formę banknotów, w istocie swej zgoła się nie różniły od asygnat rublowych i guldenowych z okresu wojen napoleońskich. To też wkrótce po wojnie wartość ich w stosunku zarówno do złota, jak i do towarów, zaczęła maleć. Podzieliły one zwykły los pieniędzy papierowych.

Rosja i Austrja w ciągu całego niemal XIX w. utrzymywały u siebie walutę papierową, stopniowo tylko wzmacniając swe zasoby złota, by w ten sposób zapewnić jej większą trwałość i lepszy kurs w stosunku do dewiz zagranicznych.

Ale obroty handlu i kredytu międzynarodowego były w pierwszych trzech ćwierciach ubiegłego wieku w całym świecie, a szczególnie w Rosji i Austro-

Węgrzech o wiele mniejsze, niż są obecnie w środkowej i zachodniej Europie. Więc i chwiejność waluty mniej szkodziła.

Obecnie w powszechnem przeświadczeniu społeczeństw europejskich uznano za niedopuszczalne utrzymywanie przez czas dłuższy pieniądza papierowego, nie mającego stałej w stosunku do złota wartości.

Koło 1924 r. ogół państw europejskich, które brały udział w wojnie, zdeklarował swój powrót do waluty złotej i ustalił kurs swych banknotów na równi złota.

Anglja osiągnęła to, podnosząc znów do nominalnej wartości w złocie zdeprecjonowane nieco po wojnie banknoty funtowe. Francja, wręcz odwrotnie, zmniejszyła zawartość złota we franku, obniżyła jego wartość nominalną, by ją dostosować do ówczesnej jego wartości realnej w stosunku do złota i dolara.

I w zasadzie zarówno Anglja, jak Francja przywróciły wymienialność banknotów na złoto. Ale nie wróciły do obiegu złote monety, bo Bank Francji i Bank Anglji zostały zobowiązane do wymiany swych not jedynie na złoto w sztabach — zatem jedynie dla międzynarodowych między bankami rozrachunków.

W przekonaniu jednak i społeczeństw i rządów ta tak ograniczona wymienialność banknotów na złoto miała stanowić tylko przejściowe stadjum. Spodziewano się powszechnie, że dzięki międzynarodowej kooperacji pod kierownictwem Ligi Narodów stosunkowo niedługo wszystkie europejskie państwa, nawet i te, w których wymienialność banknotów na złoto była całkowicie zawieszoną, — wrócą realnie do waluty złotej.

Ale po rozmyślnej dewaluacji dolara i, co jeszcze ważniejsze, po przejęciu w Stanach przez państwo całego znajdującego się w kraju zasobu złota nie można już nie widzieć, że a) niewymienialność banknotów na złoto, b) skoncentrowanie całego zasobu złota w skarbcach państw czy też banków emisyjnych, oraz brak obiegu monet złotych, c) pokrycie banknotów złotem, nie wynoszące połowy ich emisji, a niekiedy spadające nawet poniżej dziesięciu jej procent — to nie krótkotrwały epizod, ale długotrwałe odstąpienie od waluty złotej i tworzenie nowego, nieznanego dotychczas pieniądza.

Prezydent Roosevelt stara się stworzyć pieniądz o możliwie stałej sile nabywczej w stosunku do towarów.

Naczelne bowiem źródło obecnego kryzysu widzi on w zniżce cen. By więc przełamać kryzys — trze-

ba — jego zdaniem — przedewszystkiem przywrócić przedwojenny poziom cen. A jedynym sposobem zapobieżenia ponownym w przyszłości wybuchom kryzysów — jest usunąć wahania cen, ich zwyżki i spadki przez wytworzenie pieniądza o zmiennej wartości w złocie, za to jednak niezmiennej wartości w towarach.

Nie sądzę, by udało się Stanom Zjednoczonym wytworzyć za pośrednictwem owego manipulacyjnego dolara rzeczywistą stałość cen. Raczej przewiduję, że ten ich eksperyment walutowy skończy się takiem samem niepowodzeniem, jak eksperyment prohibicji. Umysłowość północno-amerykańska w zakresie spraw społecznych jest bardzo radykalna i jednostronna; lubuje się ona w rozwiązaniach najprostszych. A tymczasem życie społeczne — to splot ogromnie skomplikowany różnorodnych norm prawnych, form organizacyjnych, dążeń indywidualnych i grupowych. I wskutek tego zbyt proste sposoby regulowania go, jak np. zakaz handlu alkoholem, dają wręcz odwrotne od zamierzonych wyniki.

Teoretyczną podstawę obecnej polityki walutowej Stanów Zjednoczonych stanowi teorja ilościowa wartości pieniądza.

Według niej jedynem źródłem wartości pieniądza jest to, że stanowi on legalny środek uiszczania zo-

bowiązań płatniczych i że wskutek tego możemy otrzymać zań wszelkie inne dobra. Ale wobec tego obojętnem jest, z jakiego materjału jest pieniądz zrobiony, byle na danym rynku był powszechnie przyjmowany wzamian za towary. Gdyby cały świat miał jedną wspólną walutę — w takim razie nie byłoby potrzeba monet kruszcowych, ani nawet zabezpieczonych zapasami kruszcu banknotów. Mógłby istnieć pieniądz wyłącznie papierowy.

Gdy jednak każde państwo ma odrębną dziś walutę i w granicach każdego z nich legalnym środkiem wypłat jest tylko własny jego pieniądz — konieczne jest wobec tego posiadanie dla rozrachunków międzynarodowych pieniądza, któryby był powszechnie przyjmowany ze względu na wartość materjału, z którego jest sporządzony. Takim pieniądzem jest tylko pieniądz kruszcowy.

Dopóki więc nie będzie światowej unji monetarnej, złoto albo złoto i srebro pozostanie nadal narzędziem międzynarodowej wymiany. A że nie sposób dziś ściśle oddzielić wewnętrznej krajowej wymiany od międzynarodowej, bo wszystkie rynki krajowe są obecnie mniej lub więcej zależne od rynków światowych — zatem nie można tworzyć dwóch zupełnie odmiennych pieniędzy: jednego dla wypłat zagranicznych, drugiego dla wypłat wewnątrz państwa.

Twórcy nowoczesnej teorji ilościowej wartości pieniądza: Irwing Fisher, Keynes, Cassel — nie proponują więc odstąpienia od kruszcowej podstawy pieniądza i wprowadzenia wyłącznie papierowej waluty. Uważają jednak za zbędne kursowanie złotych monet w wewnętrznym obrocie rynkowym. Całe złoto może i powinno być skoncentrowane w bankach emisyjnych. Jest ono bowiem naprawdę potrzebne tylko dla zapewnienia kursu banknotom, jako walucie krajowej, w stosunku do innych walut, t. j. w wymianie międzynarodowej.

A na rynkach krajowych będzie można wtedy regulować obrót pieniężny tak — by siła nabywcza pieniądza nie ulegała wahaniom. Wszelkie bowiem jej zmiany, zwyżki i zniżki, przejawiające się w wahaniach indeksów cen, wynikają — wedle teorji ilościowej — jedynie ze stosunku sumy przeznaczonych na zakupy towarów pieniędzy, oraz szybkości ich obrotu, do ilości zaofiarowanych na sprzedaż dóbr. O ile więc bank emisyjny, dostosowując swą emisję not do każdej zmiany zaofiarowania towarów na rynkach krajowych, utrzyma stosunek ilościowy pieniędzy do dóbr bez zmiany — tem samem utrzyma on bez zmiany i poziom cen.

Teorja ta jest skonstruowana bardzo logicznie i jasno.

Są w niej jednak poważne luki, które każą wątpić w udanie się przeprowadzanego przez prezydenta Roosevelta eksperymentu. Wola banku emisyjnego nie jest jedynym czynnikiem rozmiarów emisyj jego not. Cośniecoś znaczy tu i wola ogółu gospodarstw i przedsiębiorstw. Nieraz już tak bywało, że banki gotowe były udzielać większych kredytów, ale brakowało tych, coby je brać chcieli.

A jeszcze mniej może bank emisyjny być pewnym tego, iż zwiększona ewentualnie przezeń emisja banknotów zostanie zużyta w całości na zakup towarów. Znaczną jej część może pochłonąć spłata dawniej zaciągniętych kredytów, spekulacja terenowa, czy papierami procentowemi, tezauryzacja choćby w formie zakupu rzadkich dzieł sztuki, drogich kamieni.

To wszystko utrudnia ogromnie utrzymanie stale bez zmiany stosunku ilości przeznaczonych na zakupy pieniędzy do ilości zaofiarowanych na sprzedaż towarów.

Przypuśćmy jednak, że wszystkie te trudności zostały przezwyciężone dzięki odpowiedniej organizacji propagandy, naciskowi władz państwowych na organizacje gospodarcze, manipulowaniu kursem banknotów w stosunku do złota i innych walut i że istotnie indeks cen zostaje utrzymany bez zmiany.

Czy da to zamierzoną równowagę gospodarczych stosunków, czy zabezpieczy kraj przed możliwością nowych kryzysów?

Byłoby to możliwe tylko w takim razie — gdyby ceny wszystkich towarów równomiernie spadały lub podwyższały się. Ale parokrotnie już świat przeżył okresy zgoła odmiennego ruchu cen produktów rolniczych niż przetworów przemysłowych. I jeśli spadają ceny płodów rolniczych wskutek nazbyt szybkiego wzrostu ich produkcji, to nie zatrzyma tego ich spadku powiększenie obiegu pieniężnego. Bo poza najbiedniejszą ludnością, nikt nie powiększa swej konsumcji chleba i mięsa, gdy się zwiększą jego dochody pieniężne, jeno zaspokaja pełniej potrzeby wyższego rzędu. Więc rozrost emisji banknotów wywoła w danym razie tylko podrożenie wytworów przemysłowych, co jeszcze bardziej pogorszy byt rolników. Przeciętny indeks cen pozostanie ten sam. Ale pomimo to dochody ludności rolniczej zmaleją i równowaga gospodarcza zostanie zachwiana.

Żadne też, choćby najkunsztowniejsze manipulowanie rozmiarami emisji i kursem banknotów w stosunku do złota — nie zapobiegnie wytwarzaniu się co czas jakiś szczególnie korzystnych konjunktur dla pewnych gałęzi produkcji, nawet w okresach, w których siła nabywcza społeczeństw pozostaje naogół

bez zmiany. Ale większy w jednej gałęzi przemysłu, niż w innych rozkwit produkcji przyciąga do niej kapitały w rozmiarach przewyższających realne ich zapotrzebowanie. Powstaje wraz z tem spekulacja założycielska, która zawsze doprowadza po pewnym czasie do nadprodukcji i kryzysu. Jak to jednak wykazał Lescure, większość tak zwanych powszechnych kryzysów konjunkturalnych należałoby nazywać kryzysami „upowszechnionemi”. Zaczynały się one bowiem od kryzysów częściowych w paru — a niekiedy nawet w jednej jakiejś wielkiej gałęzi przemysłu.

Jest to prawdopodobne, że po kilku latach stabilizowania poziomu cen zapomocą banknotów o zmiennej w stosunku do złota wartości — powszechna w Stanach Zjednoczonych opinja przekona się, że nieustanne a niezawsze zupełnie skuteczne manewrowanie inflacją i deflacją, oraz zwyżką i zniżką kursu dolara papierowego w stosunku do złota i obcych walut więcej wnosi niepokoju i niepewności w życie ekonomiczne kraju, niż gdzie indziej przyczyniają wahania się cen.

I wtedy wrócą Stany Zjednoczone do waluty kruszcowej, raczej jednak podwójnej: złotej i srebrnej, niż jednometalowej — złotej. Póki to jednak nie nastąpi — nie będą mogły też państwa europejskie wrócić realnie do waluty złotej, bo nie odważą się na

przywrócenie wymienialności banknotów na monety złote, ani nie puszczą tych monet w obieg rynkowy. Na długi więc przeciąg czasu trzeba poniechać myśli o złotej walucie, przestać patrzeć na obecny banknot, posiadający kurs przymusowy na rynkach krajowych, niewymienialny poza nielicznemi wyjątkami na złoto, pokryty kruszcem szlachetnym w mniej niż 50% — jako na stadjum przejściowe od wojennego papierowego pieniądza, do przedwojennych not banków emisyjnych, not, będących rzeczywistym równoważnikiem złota.

Czem jest jednak banknot, istniejący obecnie u nas i w większości państw europejskiego kontynentu, oraz południowej Ameryki?

Nie jest to zwykły pieniądz papierowy, jakim były naprzykład nasze marki. Nie emituje go się bowiem w nieograniczonej ilości na każde żądanie państwa.

Zjawia się on na rynku w wyniku operacyj bankowych. Jest więc istotnie banknotem, zobowiązaniem banku emisyjnego.

Ale trzeba jasno i stanowczo to sobie powiedzieć, że nie jest on realnem zobowiązaniem banku do wypłacenia jego posiadaczowi pewnej sumy złota.

Póki powszechnie wierzono, że zczasem zostanie wszędzie przywrócona wymienialność banknotów na

złoto — posiadacz ich mógł się uważać za właściciela skryptu dłużnego, którym bank emisyjny zobowiązuje się, jeśli nie dziś, to za lat kilka czy kilkanaście, wypłacić określoną ilość złota, za właściciela cząstki znajdującego się w skarbcu banku emisyjnego kruszcu, cząstki, której w danej chwili nie wolno wprawdzie podjąć, ale którą po czasie będzie można otrzymać. Im większe bank posiadał zapasy złota w stosunku do sumy wypuszczonych przez się not — tem większą dawały pewność te noty, że jednak z chwilą przywrócenia wymienialności ich na złoto otrzyma się za nie pełną kwotę złota, na jaką opiewają, i że chwila ta prędzej nastąpi.

Obecnie jednak chyba tylko bardzo młodzi mogą się jeszcze spodziewać, że kiedyś, gdy im włosy dobrze pobieleją, za posiadane przez się banknoty dostaną do rąk monety złote.

Więc nie na wierze, iż banknot czyni nas współwłaścicielami znajdujących się w bankach emisyjnych zapasów kruszcu, opiera się ich siła nabywcza. Czemże jest ona zagwarantowana?

Niewątpliwie — i pokryciem kruszcowem. Ale nie ono stanowi główną gwarancję tego, że banknot reprezentuje określoną realną wartość i że wartość ta nie zniknie z dnia na dzień, że jest trwałą.

Bo — jak już powiedziałem — pokrycie kruszcowe

w większości państw nie sięga połowy sumy emitowanych banknotów i, co ważniejsze, złota tego posiadacz banknotu nie dostanie w swe rozporządzenie ani dziś, ani w możliwej do przewidywania przyszłości.

Jeszcze przed wojną światową ekonomista niemiecki Liefman proponował wprowadzenie zamiast waluty złotej „waluty o jądrze złotem" (Goldkernwährung).

Powojenny rozwój stosunków pieniężnych doprowadził sam przez się — wbrew nawet planom i zamierzeniom rządów — do waluty istotnie o złotem tylko jądrze. Jądro to bywa niekiedy ogromne, jak np. we francuskim banknocie, gdzie w końcu 1932 r. wynosiło 97%, przeważnie jednak wynosi koło 40%, a niekiedy maleje do 7%. I co najbardziej jest dla waluty tej znamienne — kurs jej jest taki sam, wtedy gdy posiada 97% pokrycia złotem, jak i wtedy, gdy sięga ono tylko 7%.

Bo istotnie zabezpieczenie złotem niewymienialnego banknotu ma znaczenie realne tylko przy regulacji deficytów bilansu płatniczego. Poza tem jest ono dla posiadacza banknotu bez praktycznie dającej się zużytkować wartości.

Istotne pokrycie banknotów dzisiejszych to zobowiązania dłużne, dane bankom emisyjnym przez

przedsiębiorstwa i gospodarstwa (prywatne czy publiczne), którym banki te udzieliły wypłaconych swemi biletami kredytów — to przedewszystkiem portfele wekslowe banków emisyjnych i wzięte przez nie w zastaw papiery procentowe.

Banknot dzisiejszy jest pieniądzem nawskroś kredytowym. Jest to jakgdyby żyro, udzielone przez bank emisyjny zobowiązaniom płatniczym firm, które eskontowały w nim swe weksle, lub dały w zastaw swe obligacje, — następnie od tych zobowiązań oddzielone, szczególnym autorytetem banku tego, posiadającego wyjątkowe przywileje, wyposażone i puszczone w obieg rynkowy.

Zamiast by kursował weksel, zaopatrywany coraz większą ilością żyr, kursuje reprezentujący zawarte w tym wekslu zobowiązanie płatnicze i wzamian za nie przy eskoncie wydany banknot.

Tak było oczywiście i przed wojną. Ale dla posiadacza banknotu reprezentował on tylko złoto, które wzamian zań był bank emisyjny obowiązany dać na każde żądanie. Widział w nim jedynie zobowiązanie dłużne banku, który go emitował. Nie obchodziło go zaś wcale zobowiązanie dłużne wobec banku tego, komu banknot został nasamprzód przez bank ów wydany wzamian za weksel, czy papier procentowy.

Nie obchodziło go to tak dalece, że w przedwojen-

nej literaturze ekonomicznej pod pieniądzem rozumiany był zawsze tylko: albo pieniądz kruszcowy, albo asygnata państwowa, a banknot był uważany jedynie za zobowiązanie dłużne banku, zastępujące kruszec.

Bo też rzeczywiście nie był on w ścisłem tego słowa znaczeniu pieniądzem — gdy nie było obowiązku przyjmowania go.

Knapp, twórca nominalistycznej teorji wartości pieniądza, dowodząc, że o wartości pieniądza rozstrzyga nie koszt produkcji materjału, z którego został zrobiony, ale nadane mu przez państwo znaczenie reprezentanta pewnej części dochodu i majątku społecznego, miał na myśli przedewszystkiem pieniądz kruszcowy. Taki bowiem pieniądz wówczas istniał powszechnie. Oczywiście jednak wynikał stąd wniosek, że pieniądzem pełnowartościowym może być i papier, któremu autorytet państwa nada ten charakter.

Teorja Knappa nie zdobyła sobie szerszego uznania w literaturze ekonomicznej — bo jasne było, że wartość monet złotych na rynkach światowych była ta sama, co na rynkach krajowych, ale żadną miarą autorytetem państwa nie dało się uzasadnić ich siły nabywczej w wymianie międzynarodowej.

Powszechnie jednak zostało przyznanem, że we-

wnątrz swych granic, może państwo nadać pieniądzowi znacznie wyższą wartość od wartości zawartego w nim kruszcu. Wartość srebrnej pięciofrankówki, talara niemieckiego, austrjackiego guldena, rupji indyjskiej na przełomie XIX i XX wieku opierała się przedewszystkiem na nadanem przez państwo monetom tym znaczeniu reprezentantów określonej części dochodów i majątku społeczeństwa.

Liefman, najsilniej i najkonsekwentniej ze wszystkich współczesnych ekonomistów akcentujący psychiczny charakter zjawisk społecznych i odrzucający wszelkie teorje, tłumaczące wartość dóbr ilościowemi stosunkami rzeczy do rzeczy, nawet teorję użyteczności krańcowej, jako teorje materjalistyczne — nie mógł nie widzieć w pieniądzu nadewszystko nadanego mu przez państwo znaczenia. I dlatego też sformułował on projekt pieniądza, któryby miał tylko jądro kruszcowe, t. j. reprezentował zasoby kruszcu jedynie w rozmiarach potrzebnych dla rozrachunków międzynarodowych.

Wszelkie te wywody i projekty miały jednak wyłącznie teoretyczne znaczenie, gdy i na rynkach światowych i na rynkach krajowych, kursowały przeważnie monety złote, a obok nich wymienialne każdej chwili na złoto i nie posiadające przymusowego obiegu banknoty.

Ale dziś, gdy we wszystkich prawie państwach kursują banknoty niewymienialne na złoto, jedynemi obok bilonu legalnemi środkami wypłat będące, i których wartość nie jest nawet w połowie zabezpieczona złotem, gdy przytem po reformach monetarnych Roosevelta jasnem się stało, że nie prędko będzie mógł świat wrócić do waluty złotej, tak iż posiadacz banknotu nie może się realnie spodziewać, by kiedykolwiek otrzymał zań złoto — teorje i Knappa i Liefmana uzyskują duże aktualne znaczenie drogowskazów, ułatwiających znakomicie zrozumienie istoty obecnego banknotu.

Najistotniejsza jego różnica od banknotu przedwojennego, a nawet banknotu z przed 4 lat na tem polega, że nie jest on już reprezentantem pieniądza kruszcowego, który obowiązany byłby dać zań bank emisyjny, czyto natychmiast na każde żądanie, czy choćby po szeregu lat, — ale jest sam pieniądzem, bo jest jedynym pełnowartościowym środkiem uiszczania wypłat, którego przyjęcia nikt w granicach państwa odmówić nie może (oczywiście pieniądzem krajowym, a nie światowym).

Drugą jego zasadniczą różnicą jest, że wartość jego nabywcza i w stosunku do towarów na rynkach krajowych i w stosunku do obcych walut w minimalnym stopniu zależy od pokrycia jego złotem, jak

o tem poucza przykład choćby dzisiejszej marki niemieckiej.

Kurs niewymienialnych na złoto banknotów, w stosunku do banknotów zagranicznych i do złota, zależy jedynie od istniejącego na giełdach stosunku zapotrzebowania ich do ich zaofiarowania. wzamian za obce waluty.

Wartość jego na rynku wewnętrznym polega — jak to już powiedziałem — na nadanem mu przez państwo znaczeniu legalnego środka wypłat, reprezentującego pewną część dochodu i majątku społecznego.

Od papierowego zaś pieniądza (biletu skarbowego) różni się on głównie przez to, że znaczenie powyższe nadało mu państwo nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem banku emisyjnego. Nie wprowadziły go w obieg wypłaty skarbu państwa, dokonywane często za usługi zgoła nie gospodarczej natury — ale operacje kredytowe banku, mające zawsze na celu uruchomienie i wprowadzenie w obrót rynkowy jakichś wartości, wytworzonych przez korzystające z tego kredytu przedsiębiorstwa.

Jest on więc reprezentantem nietylko zobowiązania płatniczego przedsiębiorstwa, które otrzymało go od banku emisyjnego wzamian za zeskontowany weksel lub zastawiony oblig — lecz również dochodu,

który zostanie użyty na wykupno danego weksla czy obligu, a w ostatecznej instancji wartości, której realizacja w formie pieniężnej dała ten dochód i która została przy pomocy powyższego kredytu, jednocześnie emisją banknotu będącego, wprowadzona w obrót rynkowy, albo nawet wytworzona.

Oczywiście jest on tem naprawdę tylko wtedy, jeśli bank emisyjny emituje swe noty, udzielając kredytów wyłącznie produkcyjnych, na wartości już wytworzone, albo które w najbliższym czasie zostaną niewątpliwie wytworzone. Ale też statuty wszystkich banków emisyjnych pozwalają im dawać tylko ściśle handlowe, krótkoterminowe kredyty.

Państwo, za pośrednictwem wyposażonego w szczególne przywileje banku emisyjnego, gwarantuje posiadaczom banknotów, że banknoty te reprezentują rzeczywiste wartości i dochody, przez produkcję i obrót rynkowy tych wartości wytworzone.

Duży autorytet państwa i banku emisyjnego i płynące stąd głębokie zaufanie społeczeństwa do powyższej gwarancji — może zapewnić banknotowi nie mniejszą trwałość jego wartości, niż stuprocentowe pokrycie jego emisji złotem i wymienialność jego na każde żądanie za złoto.

Oczywiście zaufanie do gwarancji państwa, iż banknot reprezentuje nie tylko czyjeś zobowiązanie

płatnicze wobec banku z tytułu zeskontowanego weksla, lecz i nowopowstałe wartości, oraz dochody, zapewniające niewątpliwie wywiązanie się z danego zobowiązania płatniczego — trwać może o tyle tylko, o ile fakty potwierdzają je, a nie przeczą mu.

IV.

KONSEKWENCJE

Przedwojenna waluta złota, czy się nazywała funtem czy frankiem, dolarem, rublem, koroną lub marką, była jednocześnie pieniądzem danego państwa i pieniądzem międzynarodowym.

To też w żadnym europejskim kraju nie było w końcu XIX i na początku XX wieku dwuch walut, jednej krajowej, służącej obrotom handlowym dobrami konsumcyjnemi na rynkach wewnętrznych, drugiej międzynarodowej, używanej dla zakupów zagranicznych, oraz dla kapitalizacji i handlu dobrami wytwórczemi, stanowiącemi składniki kapitału wewnątrz państwa — tak jak to było jeszcze parę lat temu u nas, gdy kursowało drugie tyle dolarów, co złotych.

Dwoistość walut krajowych i międzynarodowych stworzyła kilkuletnia po wojnie w znacznej części Europy chwiejność kursu niewymienialnych na złoto banknotów, z wyraźnie zniżkową tendencją.

Po stabilizacji wartości tych banknotów i powrocie w zasadzie do waluty złotej, w krajach wierzycielskich o czynnym bilansie płatniczym i rosnących po 1924 r. zasobach złota, banknoty krajowe odzyskały charakter narzędzia kapitalizacji, a niektóre z nich również międzynarodowych obrotów handlowych i kredytowych.

Pieniądzem międzynarodowym stały się zpowrotem noty Banku Anglji, których kurs wrócił był do przedwojennego poziomu, gdy waluty wszystkich innych państw europejskich, biorących udział w wojnie, stabilizowano na parokrotnie niższym od przedwojennego poziomie. Nadewszystko jednak były nim banknoty dolarowe, których kurs ani przez chwilę nie uległ był zachwianiu, i które każdej chwili można było w dowolnej ilości wymienić na złoto nietylko w sztabach, ale i w formie monet.

Na tle powszechnej niewymienialności banknotów na złoto tem silniej występował najaw charakter równoważnika złota w banknotach, które utrzymały swój dawny kurs w złocie, i za które można było istotnie otrzymać każdej chwili złoto w międzynarodowej wymianie.

To też zostały one w szeregu państw zaliczone do pokrycia emisji banknotów.

Ale gdy przed dwoma przeszło laty, Bank Anglji

dopuścił do ponownej zniżki kursu swych not — przestały one być międzynarodowym pieniądzem. — Wprawdzie są one jeszcze chętnie nabywanemi na rynkach międzynarodowych dewizami. Dokonywają się za ich pomocą rozrachunki różnych krajów nietylko z Anglją, lecz i między niemi. Zawdzięcza jednak obecnie banknot funtowy tak silną pozycję na rynkach światowych już nie temu, by był na nich uznawany za równoważnik złota, lecz olbrzymiemu zapotrzebowaniu dewiz angielskich na całej kuli ziemskiej, dla regulowania zobowiązań płatniczych nietylko handlowych, lecz i kredytowych.

Zmienił się od trzech lat zasadniczo, jak już poprzednio wskazywałem, charakter światowych rynków towarowych. Przestały być one wynikowemi zaofiarowania i zapotrzebowania gospodarstw i przedsiębiorstw różnych krajów, a stały się wynikowemi umów handlowych między państwami i przyznawanych przez nie sobie wzajem kontyngentów eksportu, oraz preferencyj celnych. W roku ubiegłym zmienił się również zasadniczo charakter międzynarodowego obrotu pieniężnego. Poza złotem w sztabach, wychodzących z jednych banków emisyjnych, by wejść do innych, międzynarodowy obrót pieniężny jest dziś wzajemną wymianą dewiz i walut różnych państw, połączoną z walką o kursy tych dewiz, wal-

ką nietylko o utrzymanie ich na równi złota, lecz i o utrzymanie ich na zamierzonym z tych czy innych względów (z innych bowiem względów czyni to Anglja, a z innych Ameryka północna) niższym od nominalnej wartości poziomie.

Podobnie jak na światowych rynkach towarowych, również na światowych rynkach pieniężnych momenty walki między państwami wzięły obecnie zdecydowanie górę nad momentami współpracy międzynarodowej, która stanowiła główną ich treść, na przełomie XIX i XX wieku.

W naszej publicystyce, hołdującej zawsze najnowszym zagranicznym modom (przed pięciu laty był nią tayloryzm i fordyzm, dziś jest nią faszyzm i hitleryzm, dużo się mówi o powrocie do średniowiecza, propaguje się odwrót od kapitalizmu do ustroju stanowo-korporacyjnego. Istotnie faszyści głoszą oparcie organizacji nietylko gospodarczej lecz i politycznej Włoch o korporacje, a hitlerowcy, idąc za wskazaniami Spanna, chcieliby całe życie cywilizacyjne Niemiec ująć w formy przymusowych prawno-publicznych związków stanowych. Ale dotychczas zarówno państwo korporacyjne, jak stanowe, to są tylko programy przyszłości. Pomimo tylu

już lat nieograniczonej niczem dyktatury, Mussolini nie zdołał zorganizować ani jednej gałęzi produkcji czy handlu swego kraju w rzeczywistą korporację.

Istota bowiem korporacji, tak jak ją wytworzyło średniowiecze, na tem polega, że po pierwsze łączyły one w jeden związek, zespolony solidarnością braterską, ludzi pracujących w pewnym zawodzie bez różnicy ich hierarchicznego stanowiska i ich majątku, i że po drugie, stanowiły one ciała zbiorowe, samodzielnie się rządzące, mające nawet własną jurysdykcję. Członkami cechu byli nie tylko majstrowie, lecz i czeladnicy i uczniowie. Majstrowie byli starszyzną, uczniowie młodzieżą cechu. Ale wszyscy oni stanowili jakoby jedną wielką rodzinę. Obowiązywała ich wzajemna pomoc i solidarność taka sama, jak w związkach krwi. I były ówczesne gildje i cechy wyposażone w niemniejszą autonomję, od autonomji zamków rycerskich. Bo cały ustrój średniowieczny był hierarchicznym układem korporacyj autonomicznych.

Tymczasem we Włoszech dotychczas istnieją odrębne związki robotników i odrębne związki pracodawców w każdej gałęzi produkcji i handlu. Zbierają się razem jedynie delegacje związków robotniczych i przedsiębiorców. Ale i w Anglji płace robocze i wszelkie inne warunki pracy ustalone są umowami

związków robotników ze związkami pracodawców. Różnica między tem, co jest pod tym względem we Włoszech, a w Anglji, polega na tem tylko, że w tej ostatniej zarówno związkami robotników jak i pracodawców kierują wybierane przez ogół ich członków zarządy, że związki te są tam więc autonomiczne i kierują się oczywiście własnemi tylko interesami, gdy we Włoszech zarządy korporacyj i robotników i przedsiębiorców, mianuje rządząca partja, podobnie jak się to dzieje we wszystkich stowarzyszeniach i związkach sowieckich, i że wobec tego korporacje te są naprawdę organami polityki ekonomicznej państwa i podporządkowania jej interesów poszczególnych grup społecznych.

Również Hitler nie zorganizował jeszcze, poza włościaństwem, żadnego innego w Niemczech stanu, jeno poddał zawodowe związki robotnicze pod komendę swej partji.

Dużo się mówi we Włoszech i Niemczech, a najbardziej bodaj u nas, o odrodzeniu form średniowiecznych życia społeczno-gospodarczego: o korporacjach, stanach, autarkji.

Ale w całym świecie, nie wyłączając zresztą i Włoch i Niemiec, robi się coś zupełnie odmiennego — nawrót do merkantylizmu, do państwowego kierownictwa przedsiębiorczością i do coraz bezwzględ-

niejszej wszystkich państw walki na wszystkich międzynarodowych rynkach zarówno towarów, jak pracy i pieniędzy, o jak najbardziej czynne bilanse płatnicze i handlowe.

Kwestja pieniądza dominuje znów nad całą polityką ekonomiczną państw dzisiejszych.

Pomimo faktycznego odstąpienia od waluty złotej — toczy się między państwami nieustająca po wojnie i coraz ostrzejsza od paru lat walka — właśnie o złoto.

Początkowo miała ona ekonomiczne przedewszystkiem motywy. Wojna światowa wyprowadziła z biorących w niej udział krajów europejskich cały ich niemal zasób złota, sprowadzając w następstwie tego deprecjację ich banknotów. W 1913 w Europie znajdowało się 63% światowego zasobu złota, a w Stanach Zjednoczonych 22%; w pierwszych latach po wojnie, Europa posiadała już tylko 35% złota, a Stany Zjednoczone 43%.

By więc wrócić zczasem realnie do waluty złotej — jak to było powszechnym koło 1924 r. państw europejskich zamiarem — musiały państwa te podjąć usilne zabiegi o odzyskanie złota, które były wyeksportowały do Ameryki wzamian za otrzymywane z niej w czasie wojny towary, głównie broń, amunicję i żywność.

I to było naczelnym motywem utrzymania nadal niewymienialności banknotów, pomimo zrównoważenia ich kursów w Anglji na dawnym, we Francji, Włoszech, Belgji na nowym, niższym, w obu jednak razach stałym już poziomie złota.

Około jednak 1928 r. zasoby złota we Francji, Belgji, Anglji, oraz szeregu państw neutralnych, były już dostateczne, by w krajach tych mogła być przywrócona w pełni wymienialność banknotów na złoto.

Nie nastąpiło to z przyczyn naprawdę tylko politycznych — z obawy przed nową wojną. Nie był bowiem ani szczery, ani poważny, wysuwany wówczas w dotyczących tej sprawy dyskusjach argument, iż wobec tego, że w szeregu państw, stabilizacja waluty nie została jeszcze dostatecznie zabezpieczona, do krajów tych odpływałoby złoto państw, któreby przywróciły u siebie przedwojenny obieg monet kruszcowych.

Toć w XIX w. przez 80 lat zgórą w Rosji i Austro-Węgrzech była papierowa de facto, chwiejna waluta — i nie przeszkadzało to zgoła kursowaniu złotych monet oraz pełnej wymienialności banknotów we Francji, Anglji, Belgji, Holandji, Szwajcarji, Prusach, Bawarji...

Ale właśnie dlatego, iż motywy gromadzenia złota przez państwa europejskie w skarbcach swych ban-

ków emisyjnych i niepuszczania go w obieg rynkowy są politycznej przedewszystkiem natury — jedynie Stany Zjednoczone czynią to, jak już wyjaśniłem, z myślą o stworzeniu nowej waluty — nie można realnie oczekiwać powrotu do waluty złotej, zanim obecna niepewność politycznych stosunków świata ustanie.

Francja walczy wytrwale o utrzymanie, choć w zasadzie, waluty złotej nietylko we własnym kraju, lecz i na całym możliwie kontynencie europejskim, w nadziei, że zczasem będzie można realnie też do niej wrócić.

I równie wytrwale walczy ona o zapewnienie powszechnego, przynajmniej w Europie, bezpieczeństwa.

Los obu tych walk jest ściśle z sobą związany. — Szanse powrotu do rzeczywistej waluty złotej są takie same, jak szanse uzyskania rzeczywistych gwarancyj bezpieczeństwa.

Niewiele jest jednak w naszym narodzie ludzi, którzyby się łudzili, że własnemi oczami będą oglądali trwały, nienaruszalny w Europie pokój. Nie zagwarantuje go nawet najdalej posunięte rozbrojenie. Toć bywały wojny, w których wytępiono doszczętnie całe narody, gdy nie było nietylko ciężkiej artylerji, ale nawet stalowych mieczów. Usunąć niebezpieczeń-

stwo wojny może tylko zasadnicza zmiana psychologji narodów — wyzbycie się przez nich ducha egoizmu i zaborczości. Do tego jednak zgoła nie idzie.

Więc trzeba sobie stanowczo powiedzieć: nie można spodziewać się w możliwej do przewidzenia przyszłości powrotu do naprawdę złotej waluty, do pieniądza, będącego równocześnie pieniądzem krajowym i światowym; istnieją dziś i długo istnieć będą waluty wyłącznie krajowe, pieniądze kredytowe o złotem tylko jądrze, których wartość polega na popartej autorytetem państwa gwarancji banków emisyjnych, że są one reprezentantami realnie utworzonych i wprowadzonych w obrót rynkowy wartości, oraz z obrotu tego płynących dochodów, — pieniądza zaś międzynarodowego poza złotem zgoła już niema.

I nietylko należy to wszystko sobie powiedzieć. — Trzeba również wyprowadzić wszystkie z faktów tych płynące konsekwencje ekonomiczno-polityczne.

Pierwszą z nich jest: **Polska musi stanąć do powszechnej na rynkach światowych walki o złoto. Odpływ złota z Polski trzeba koniecznie powstrzymać, a w przyszłości starać się nawet o zwiększenie jego u nas zasobów.**

Jakże to osiągnąć?

Złoto odpływa od kilku lat z Polski, ponieważ zu-

żywamy je dla regulowania deficytów naszego bilansu płatniczego.

A więc, by położyć kres temu odpływowi — trzeba przestać zakupywać zań obce waluty dla wypłat zagranicznych, czy też uiszczać niem wprost te wypłaty. Są na to dwa sposoby: albo 1) wzorem Niemiec zamknąć zupełnie transfer, oświadczyć zagranicznym naszym wierzycielom, że będziemy im płacić nasze zobowiązania dłużne w ich krajowej walucie o tyle tylko, o ile ona do nas przypłynie, a poza tem kontami w naszych bankach państwowych, opiewającemi na złote, — albo 2) zażądać rewizji wszystkich umów handlowych z innemi państwami wierzycielskiemi, by uzyskać od nich kontyngenty kompensacyjne dla naszego importu, równe nietylko ich do nas wwozowi, lecz również naszym wobec krajów tych zobowiązaniom płatniczym z tytułu zaciągniętych u nich pożyczek.

Żądanie to jest bezwzględnie słuszne. Gdyśmy bowiem zaciągali pożyczki zagraniczne — nie istniały wówczas w tych państwach kontyngentowe ograniczenia przywozu, nie było w nich prawnych ograniczeń, uniemożliwiających nam zdobycie jak największego zbytu na ich rynkach towarowych, mieliśmy możność zarobienia na handlu w krajach wierzycielskich walut, potrzebnych do spłaty kredytów.

że nie jest to dialektyczny jeno — ale nawskróś rzeczowy argument, świadczy o tem choćby ten fakt, że w 1926 r. mieliśmy 700 milj. zł. przewyżki eksportu nad importem. Nie jest więc niemożliwem dostarczenie przez nas na rynki zagraniczne towarów w ilości dostatecznej dla uzyskania pieniędzy, potrzebnych dla wszystkich naszych płatności zagranicznych, zarówno z tytułu zakupywanych w obcych krajach towarów, jak i zaciągniętych w nich pożyczek.

Którą z tych dwóch dróg wybrać: zamknięcia transferu, czy rewizji umów handlowych, zapewniającej nam kontyngenty eksportu, wyrównywające nietylko nasz import z odnośnych krajów, lecz i nasze kredytowe wobec nich zobowiązania, — o tem może decydować tylko rząd, odpowiedzialny za całość naszych międzynarodowych stosunków, zarówno ekonomicznych jak politycznych.

Ale rzeczą ekonomisty jest stwierdzić, że bez zamknięcia trwającego od 4 lat odpływu obcych walut i złota z kraju — niechybniebyśmy musieli dojść po pewnym czasie do kresu, poza którym niemożliwem już byłoby dalsze podtrzymywanie kursu złotego przez kurczenie obrotu pieniężnego.

Według doniesień dzienników, w czasie pobytu ministra Barthou w Warszawie, ze strony naszego rzą-

du został podniesiony postulat zapewnienia w nowym układzie handlowym polsko-francuskim aktywnego bilansu handlowego dla Polski, tak by został przez to wyrównany nasz z Francją bilans płatniczy.

Jeśli tak jest naprawdę — świadczyłoby to, że nietylko teoretyczne profesorskie rozważania nad dzisiejszemi przeobrażeniami banknotu, lecz i nawskróś praktyczna ocena obecnych stosunków międzynarodowych ze strony kierowników naszej polityki mocarstwowej. doprowadza do tego samego wniosku: *ostatni już nadszedł czas, by zatrzymać odpływ złota z Polski. Posiadany dziś przez nas zasób złota to minimum tego, co jest niezbędne dla naszego bezpieczeństwa.* Wiele, bardzo wiele zmieniło się w świecie od czasów Montecuculi'ego. Ale jego powiedzenie, że dla wygrania wojny trzeba, obok umiejętności wodzów i dzielności żołnierzy, również złota — nie przestało być prawdą.

Druga konsekwencja, wypływająca dla Polski z dokonywających się w świecie przeobrażeń pieniądza, jest następująca: *Wartość dzisiejszego banknotu zarówno na rynkach światowych w stosunku do złota i obcych walut, jak i na rynkach krajowych*

w stosunku do towarów, zależy o wiele mniej od wielkości ich jądra złotego, co: a) od stosunku ich zapotrzebowania do zaofiarowania dla międzynarodowych rozrachunków handlowych i kredytowych; b) od stosunku wzrostu lub spadku ilości środków płatniczych w kraju do wzrostu lub spadku sumy dochodów przedsiębiorstw i gospodarstw krajowych, płynących z produkcji dóbr i ich sprzedaży na rynkach krajowych czy zagranicznych.

A zatem z chwilą usunięcia przewyżki zapotrzebowania u nas dla wypłat zagranicznych obcych walut nad zapotrzebowaniem złotych zagranicą, kurs złotego na rynkach światowych będzie całkowicie zapewniony, choćby jego jądro kruszcowe dwukrotnie zmalało. A te same środki, którebyśmy zastosowali dla powstrzymania odpływu z Polski złota, automatycznie usuwają też przewyżkę na naszych rynkach pieniężnych zapotrzebowania obcych walut nad

ich na te rynki przypływem, względnie nad zapotrzebowaniem złotych przez zagraniczne firmy, mające do uiszczenia wypłaty u nas. Zarówno bowiem zamknięcie transferu, jak rewizja umów handlowych, zapewniająca nam przewyżkę naszego eksportu do krajów wierzycielskich nad ich do nas importem i umożliwiająca nam w ten sposób zarobienie w handlu z temi krajami ich walut w ilości, potrzebnej dla wywiązania się z naszych wobec nich zobowiązań płatniczych, — pozwoli nam nabywać obce waluty jedynie za eksportowane przez nas towary, a nie za złote. O ile nie będziemy mogli dostać walut za nasze towary w ilości dostatecznej dla zapłacenia procentów i rat wierzycielom zagranicznym — to tych rat i procentów nie zapłacimy — oczywiście narazie. Nie przekreślilibyśmy tych naszych zobowiązań dłużnych. Gdyby nam jednak kraj wierzycielski nie przyznał kontyngentów importu, niezbędnych dla zarobienia w niem walut koniecznych dla regulacji naszych zobowiązań kredytowych, — w takim razie firma polska wpłacałaby do Banku Gospodarstwa Krajowego swą wobec zagranicznego wierzyciela należytość, obliczoną oczywiście w złotych. A Bank Gospodarstwa Krajowego przekazywałby odnośnej firmie zagranicznej w wa-

lucie danego kraju odpowiednią do przypływu do Polski tych walut część otrzymanej od polskiego dłużnika wpłaty. Resztę zaś tej wpłaty umieszczałby na rachunku bieżącym zagranicznej firmy z tem, że gdy zczasem polskie społeczeństwo zarobi dosyć odpowiednich walut, zostaną zagranicznym wierzycielom spłacone wszystkie ich do nas pretensje. Do tej chwili jednak zmuszeni będziemy, wskutek restrykcyj przewozowych ich państw, do regulowania zagranicznych naszych zobowiązań w zasadzie jedynie towarami, a pieniądzmi — o tyle tylko, o ile zarobimy je w handlu międzynarodowym.

Dziś jest taki czas, że naprawdę we wszystkich międzynarodowych stosunkach płatniczych silniejsi są dłużnicy od wierzycieli. Bo dłużnicy zrezygnowali na długo z zaciągania nowych pożyczek; nauczeni ciężkiemi doświadczeniami kryzysu, myślą o oddłużaniu się — a nie o dalszem zadłużaniu się. Wierzyciele zaś nie posiadają żadnych środków egzekucyjnych.

Obawiam się wszakże, że rządzące dziś u nas koła nie dość sobie zdają sprawę z tej powszechnej dziś w świecie zmiany stosunku sił między wierzycielami a dłużnikami. Rządzące u nas koła ciągle jeszcze rachują na przypływ obcych kapitałów. Oczywiście jednak wobec tego czujemy się nadal po dawnemu

słabszymi od naszych wierzycieli i nie odważamy się na postawienie im ultymatywne naszych postulatów.

Nie jest, mojem zdaniem, słuszne propagowane dziś w paru narodowych dziennikach hasło — wyzbycia się z Polski obcych kapitałów. Jeden z pierwszych sformułowałem przed kilku laty w szeregu artykułów i odczytów, a ostatnio w X części Ekonomji Społecznej, coraz powszechnej dziś uznawany program uprzemysławiania naszego społeczeństwa od dołu, przez rozwój przedewszystkiem drobnego i średniego przemysłu, nie wymagającego wielkich nakładów kapitału, ani wielkich administracyjnych talentów, a zatrudniającego stosunkowo dużo ludzi.

„Frontem ku małemu człowiekowi" — powinno na długo pozostać naczelną zasadą naszej polityki ekonomicznej.

Ale z tego bynajmniej jeszcze nie wynika, że trzeba iść z drągiem i siekierą na wielki, obcy kapitał.

Jeśli chcemy być wielkiem mocarstwem — nie możemy się pozbawić przemysłu górniczego, hutniczego, chemicznego, maszynowego, automobilowego, ani też zaniechać budowy linij kolejowych, okrętów... Są to wszystko jednak gałęzie produkcji, wymagające wielkich zakładowych kapitałów, jakich naród nasz obecnie nie posiada.

Zjawił się wobec tego „narodowo-radykalny" pomysł upaństwowienia tych gałęzi przemysłu.

Pomysł to jednak bardzo niebezpieczny. Bo nie mówiąc już o tem, że urzeczywistnienie jego zanadtoby nas zbliżyło do naszego wschodniego sąsiada (tam też się zaczęło od upaństwowienia tylko banków i wielkich fabryk, a skończyło się na kołhozach), lecz obciążyłoby jeszcze ogół społeczeństwa nowemi wielkiemi daninami na niezbędne ulepszanie i rozszerzanie urządzeń mechanicznych tych państwowych kopalń i fabryk. Boć nie mogłyby one pod względem technicznym stać u nas na miejscu, gdy w całym świecie idą naprzód. A żadne większe przedsiębiorstwo państwowe nie daje u nas dochodu, wystarczającego na oprocentowanie jego kapitału choćby wedle stopy eskontu Banku Polskiego. Nie może więc być serjo mowy nawet o tem, by z własnych dochodów mogły one odkładać dość na konieczne powiększanie swego kapitału zakładowego.

Gdy jednak nie wolno nam rezygnować z rozwoju wielko-kapitalistycznego przemysłu w całym szeregu gałęzi produkcji — a sami nie mamy dostatecznych kapitałów — ewentualne zaś upaństwowienie odnośnych przedsiębiorstw nie tylko nie pomogłoby rodzinnemu drobnemu i średniemu przemysłowi, lecz, niepomiernie wzmagając nadmierną już dziś biuro-

kratyzację całego naszego życia gospodarczego, pogorszyłoby warunki jego rozwoju, — zatem trzeba sobie powiedzieć, że jednak długo jeszcze dla normalnego funkcjonowania i rozrostu wytworzonego u nas przez obcy kapitał wielkiego przemysłu dalszy przypływ doń kapitałów zakładowych z zachodniej Europy i Ameryki będzie konieczny.

Może i dobry jest pewien nadmiar nacjonalistycznej buty u młodzieży — ale w żadnym razie nie przystoi on ani starym profesorom ekonomji, ani kierownikom realnej polityki ekonomicznej państwa bez względu na ich wiek. Więc nie będę doradzał naszemu rządowi poniechania wszelkiej o to troski, by nieoględnemi jakiemiś zarządzeniami nie zatamować przypływu obcych kapitałów do Polski.

Trzeba zdawać dziś jednak sobie z tego sprawę, że troska o przypływ zagranicznych kapitałów — realnie może być jeno troską o daleką przyszłość. Należy unikać tego, co w dalszej przyszłości mogłoby odstręczyć od Polski kapitały zachodnie, przedewszystkiem tego wszystkiego, co nas zbytnio upodabnia do S. S. S. R., oraz podrywa wiarę w wartość prawa i poszanowanie legalnych zobowiązań.

Ani dziś jednak, ani jutro, ani wogóle w najbliższych latach nie sposób serjo oczekiwać silniejszego przypływu do nas zagranicznych kapitałów. Nie do-

każe tego największa nawet zręczność dyplomatyczna. Emigracja bowiem kapitałów i inicjatyw przedsiębiorczych z krajów wysoce uprzemysłowionych do krajów mało uprzemysłowionych, na której opierał się przedwojenny postęp ekonomiczny wschodniej Europy — ustała niemal zupełnie po wojnie. I nie wróci ona, dopóki nie wróci wolny na rynkach światowych obrót i towarów i pracy. Nie mogą swobodnie krążyć po kuli ziemskiej kapitały — gdy stawiane są niezliczone przeszkody krążeniu wytwarzanych przy ich pomocy dóbr.

A wobec tego zgoła nierealnem byłoby opieranie planu przełamania u nas dzisiejszego kryzysu — na pomocy obcych kapitałów.

Możemy i musimy rachować tylko na własne siły. Więc niema dobrej racji, dla której mielibyśmy się obawiać stawiania w najbardziej choćby ultymatywnej formie słusznych naszych postulatów wobec zagranicznych wierzycieli. A, jak już powiedziałem, wprowadzając kontyngenty importu, państwa wierzycielskie zmieniły zasadniczo warunki, w których zaciągaliśmy nasze zagraniczne pożyczki. Zmiana tych warunków musi w konsekwencji prowadzić do zmiany również sposobu spłaty przez nas i inne narody dłużnicze swych zobowiązań kredytowych. Możemy — powtarzam — spłacać je, nie rujnując ca-

łego swego pieniężnego bogactwa, w dzisiejszych warunkach międzynarodowego obrotu — w zasadzie tylko towarami, pieniądzmi zaś o tyle tylko, o ile zostaną nam przyznane kontyngenty naszego do krajów wierzycielskich importu, kompensujące nietylko ich do nas eksport, lecz i nasze wobec nich zobowiązania kredytowe.

Wiem dobrze, że zrealizowanie tego postulatu, czyto przez zamknięcie transferu, czy przez odpowiednią rewizję umów handlowych z państwami wierzycielskiemi, nie jest łatwe i nie da się dokonać z dnia na dzień. Ale polityka nie jest sztuką załatwiania tylko rzeczy łatwych. Od 15 lat w naszej polityce zagranicznej osiągnęliśmy i przed majem i po maju niejedną rzecz bodaj trudniejszą — jak choćby ostatnio skłonienie Gdańska do ugodowego wobec Polski tonu.

Trzecią konsekwencją dokonywającego się obecnie przeobrażenia się banknotu ze zobowiązania dłużnego, zastępującego pieniądz kruszcowy, w pieniądz kredytowy, reprezentujący określoną część dochodu społecznego, jest możność stwarzania drogą odpowiednich operacyj kredytowych banków emisyjnych, wyposażo-

nych szczególnym przez państwa autorytetem, nowych pieniędzy i zwiększania sił płatniczych społeczeństwa.

Obok produkcji własnych kopalń złota i czynnych bilansów płatniczych, źródłem przypływu zasobów pieniężnych na rynki krajowe może być dziś i emisja banknotów, o coraz mniejszem choćby pokryciu złotem, byle w podstawie jej leżał naprawdę wytwórczy kredyt.

Jak to już bowiem poprzednio stwierdziłem, kurs dzisiejszych banknotów zależy o wiele mniej od wielkości ich jądra złotego, co od stosunku ich zapotrzebowania do zaofiarowania dla wypłat międzynarodowych. O ile więc, przeprowadzając zasadę, że płacimy nasze zobowiązania wobec zagranicznych wierzycieli z reguły towarami, a pieniądzmi o tyle tylko, o ile zarobimy w handlu międzynarodowym odpowiednie dewizy, usuniemy niebezpieczeństwo przewyżki zapotrzebowania tych dewiz na naszych giełdach nad ich zaofiarowaniem — możemy zmniejszyć znacznie pokrycie banknotów naszych bez obawy spadku ich wartości w złocie.

Zatem dla obrony kursu złotego na równi złota nie

jest konieczne regulowanie deficytów naszego bilansu płatniczego złotem i zmniejszanie i tak już minimalnego jego u nas zasobu — byleśmy się zdobyli na równą Niemcom decyzję w stosunku do naszych zagranicznych wierzycieli.

I nie jest też wobec tego konieczna dalsza deflacja. Co więcej, nie narażając zgoła na zniżkę wartości złotego w złocie, możemy rozpocząć planową reflację.

Stwierdzenie jednak możliwości jej przeprowadzenia — nie dowodzi jeszcze, by była ona potrzebna i pożyteczna. Więc rozważmy nasamprzód przed ostatecznem wypowiedzeniem się za nią, lub przeciw niej, czy nie wystarczyłoby może dla przełamania ciążącej dziś nad całem naszem życiem ekonomicznem depresji samo powstrzymanie obecnej deflacji?

Za tym ostatnim wnioskiem przemawiać się zdaje fakt, że obieg pieniężny spadł u nas od 1929 r. mało co więcej niż ogólny poziom cen. Więc — według popularnego wyrażenia — wartość złotych wzrosła w tej samej niemal proporcji, w jakiej się ich ilość zmniejszyła, a wskutek tego siła płatnicza naszego społeczeństwa pozostała niemal bez zmiany. Lecz w takim razie zwiększanie emisji banknotów nie jest konieczne dla przełamania stagnacji. Raczej należałoby zacząć od ożywienia przedsiębiorczości innemi

jakiemiś sposobami — a dopiero następnie rozszerzać kredyty i obieg banknotów odpowiednio do wzrastającego ich zapotrzebowania ze strony przedsiębiorstw wytwórczych.

Rozumowanie to byłoby słusznem tylko wtedy: 1) gdyby kryzys został u nas wywołany przez nadprodukcję i powszechną przy pomocy olbrzymiej inflacji kredytowej nadkonsumcję, która musiała w pewnym momencie skurczyć się do poziomu rzeczywistych dochodów społeczeństwa; 2) gdyby spadek cen był równomierny we wszystkich działach produkcji i handlu; 3) gdyby wyprzedzał on stale kurczenie się obrotu pieniężnego, a nie był wywoływany zmniejszaniem się siły płatniczej społeczeństwa; 4) gdyby istniały u nas, tak jak we Francji, znaczne zasoby tezauryzowanych pieniędzy, których uruchomienie zaopatrzyłoby nasze przedsiębiorstwa w kapitały, dziś im brakujące.

Nasza rzeczywistość jest jednak wręcz odmienna. Nie było u nas po wojnie ani przez chwilę nadprodukcji. Od 1913 po 1929 r., ludność świata wzrosła o 9,6%, a produkcja światowa ropy o 272%, żelaza o 22%, stali o 57%, cukru o 48%. Ale u nas produkcja górnicza i przemysłowa nie dosięgła nawet w roku najlepszej konjunktury, t. j. w 1928 r., przedwojennego poziomu.

Wyprodukowano na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej w tysiącach tonn:

	1913	1928
węgla kamiennego	40.972	40.616
ropy	1.114	743
rudy cynkowej	502	325
surowca żelaza	1.055	684
stali	1.677	1.438

I nie było również powszechnej społeczeństwa nadkonsumcji. Radosna twórczość istniała w latach poprzedzających kryzys u nas jedynie w gospodarce państwa, gmin, powiatów — no i szczególnie hojnie uszczęśliwianej wówczas drogiemi kredytami, większej własności ziemskiej.

I produkcja i konsumcja i rozmiar dochodów na głowę ludności były u nas w 1928 r. mniejsze niż przed wojną światową.

Inne miał i ma u nas kryzys przyczyny niż na zachodzie — choć niewątpliwie powstał w związku z tem, co się działo na rynkach światowych.

I zaczął się u nas o rok niemal wcześniej niż w Ameryce, Anglji i Niemczech — bo już wiosną 1929 r. Wywołało go zaś — powtarzam — nie skurczenie się nadmiernie rozdętej kredytową inflacją konsumcji do poziomu realnych dochodów społeczeń-

stwa (tak się zaczął on w Stanach Zjednoczonych i Niemczech) — ale raptowny spadek realnych dochodów i siły płatniczej 72% naszego społeczeństwa wskutek gwałtownej niemal do połowy zniżki cen rolniczych na rynkach światowych, a jednocześnie zmniejszenia się zasobów pieniężnych kraju, wywołanego odpłynięciem zpowrotem do krajów wierzycielskich, wskutek ujemnego bilansu płatniczego, wszystkich zaciągniętych przez nas w 1927 i 1928 r. kredytów zagranicznych. I zastój na rynkach nie zaczął się u nas, jak na zachodzie, od spadku zamówień otrzymywanych przez wielkie fabryki metalurgiczne, oraz huty i kopalnie, od redukcji więc nakładów inwestycyjnych ze strony kapitalistycznych przedsiębiorstw. Punktem jego wyjścia było skurczenie się bezpośredniej konsumcji, przedewszystkiem mas chłopskich, a następnie średnio-zamożnej ludności miejskiej.

I w dalszym ciągu maleje u nas wraz z pomniejszaniem się obiegu pieniężnego siła płatnicza przedewszystkiem masy bezpośrednich konsumentów, szczególnie konsumentów wiejskich.

Bo jeślibyśmy nawet przyjęli, że zasoby pieniężne naszego społeczeństwa w złotych i dolarach zmalały od 1929 r. w tym samym stopniu co przeciętny poziom cen hurtowych, t. j. o 35% (choć w rzeczywi-

stości zmniejszyły się one prawie do połowy) — to jednak nie sposób nie zauważyć, że dla rolników wartość nabywcza złotych wzrosła tylko o 21%, gdyż o tyle właśnie spadły ceny detaliczne artykułów przemysłowych, ilość jednak zarabianych przez nich złotych skurczyła się co najmniej o 40%, o tyle bowiem spadły hurtowe ceny rolnicze.

Więc nietylko nominalna, lecz i realna siła płatnicza wsi wraz z deflacją maleje coraz bardziej.

A gdy weźmiemy pod uwagę, że spadek kosztów utrzymania wynosił w tym czasie 22%, gdy obiegu pieniężnego znacznie ponad 35%, naprawdę nawet ponad 40%, widzimy, że zmalała również siła płatnicza ogółu bezpośrednich konsumentów miejskich. Najwymowniejszym zresztą tego dowodem jest z jednej strony rosnąca suma zaległości podatkowych, z drugiej — malejące spożycie artykułów codziennej potrzeby, jak: sól, cukier, nafta, tytoń spirytus.

Z pośród robotników pracujących w przedsiębiorstwach górniczych i przemysłowych, zatrudniających powyżej 20 robotników, przeszło 60% pracuje u nas przy produkcji dóbr bezpośredniego spożycia, a niecałe 40% wytwarza narzędzia i materjały produkcji. Poza tem bezpośredniej konsumcji służy całe rzemiosło.

Więc gdy na zachodzie, w krajach w pełni rozwiniętego czynnego kapitalizmu o ożywieniu i zastoju przedsiębiorczości decyduje w pierwszym rzędzie tempo inwestycyj i związany z niem rozmiar zamówień otrzymywanych przez ciężki przemysł, przeważnie metalurgiczny — to u nas wręcz odwrotnie o ożywieniu i zastoju przemysłu rozstrzyga przedewszystkiem wzrost lub spadek zapotrzebowania dóbr konsumcyjnych, spowodowany zwiększaniem się lub kurczeniem się siły nabywczej masy bezpośrednich, niezamożnych i średnio-zamożnych konsumentów.

Zatem dla przełamania zastoju gospodarczego w Polsce koniecznem jest przedewszystkiem zwiększenie siły płatniczej ogółu społeczeństwa, w szczególności włościan, robotników i wszelakiego rodzaju „małych ludzi".

Samo powstrzymanie dalszej deflacji nie zwiększy jednak ilości pieniędzy znajdujących się w dyspozycji tego ogółu bezpośrednich konsumentów.

Uczynić to może tylko wyraźny nawrót z drogi, po której szła w ostatnich latach nasza polityka waluto-

wa i kredytowa, z drogi deflacji, na drogę cofania odpływu pieniędzy, reflacji, zwiększającej zasoby pieniężne społeczeństwa zpowrotem do normy co najmniej z 1928 r., z przed kryzysu, jeśli nie z 1913 r., z przed wojny światowej.

V.

DROGA WYJŚCIA

Są rzeczy, których nie może Polska robić pierwsza. Nie mogliśmy nie spłacać regularnie naszych długów wojennych, — gdy spłacały je wszystkie inne państwa. Gdy jednak Francja odmówiła zapłacenia Stanom Zjednoczonym swej raty długu wojennego — mogliśmy bezpiecznie i my to uczynić.

Również dopóki wszystkie państwa regulowały swe rachunki międzynarodowe handlowe i kredytowe obcemi dewizami i złotem — musieliśmy i my to czynić. Ale wobec tego, nie chcąc dopuścić do spadku kursu złotego, musieliśmy wyrównywać deficyty naszego bilansu płatniczego posiadanemi przez Bank Polski zasobami walut i złota — co nieuchronnie prowadziło do kurczenia obiegu pieniężnego i kredytu, do deflacji.

Do połowy więc ubiegłego roku nie mogliśmy nie prowadzić polityki deflacyjnej. Była ona w ówcze-

snych naszych warunkach niezbędną. Co więcej — była ona nawet przez czas dłuższy pożyteczną: wzmogła ona znacznie w całem społeczeństwie, a szczególnie w warstwach średnio-zamożnych oszczędność. — Pomimo, że zasoby pieniężne społeczeństwa malały, wkłady w kasach oszczędności ciągle rosły. Niewątpliwie też kurczenie udzielanych przez Bank Polski i banki państwowe kredytów, skierowało wysiłki dużej ilości przedsiębiorstw i gospodarstw ku systematycznemu oddłużaniu się.

Była to dla szerokich kół naszego społeczeństwa uzdrawiająca głodówka. I żałować jedynie należy, że rządy nasze nie zastosowały większych oszczędności również w gospodarce publicznej: państwowej i samorządowej.

Ale najracjonalniej rozpoczęta głodówka, staje się ogromnie szkodliwą — gdy trwa zbyt długo.

Więc choć słuszną była u nas doniedawna polityka deflacyjna — czas ją przerwać.

Bo gdy Niemcy przestały regulować swe rozrachunki międzynarodowe dewizami i złotem, ofiarowując za nie jedynie swe towary, nie ma dobrej racji, czemu niema uczynić tego samego każdy inny kraj wierzycielski, a więc i Polska. Jeślibyśmy zaś uważali, że nie do twarzy nam iść samym tą samą co Niemcy drogą — możemy zainicjować zbiorową

szeregu krajów wschodniej Europy akcję, w celu ustalenia zasady, że krajom dłużniczym należą się od krajów wierzycielskich kontyngenty importu, kompensujące nietylko eksport tych ostatnich do pierwszych, lecz i ich zobowiązania kredytowe.

Nie jest więc już nadal konieczne dla obrony złotego stopniowe wyzbywanie się zasobów złota. A gdy równocześnie z zamknięciem transferu przez Niemcy, Stany Zjednoczone położyły kres łudzeniu się, iż obecny niewymienialny banknot stanowi stadjum przejściowe do przedwojennego banknotu, zastępującego jeno pieniądz kruszcowy, możemy, nie narażając kursu złotego na żadne niebezpieczeństwo, obniżyć „jądro złote" naszych złotych choćby poniżej 20% ich nominalnej wartości, byleśmy nie używali ich na kupno obcych dewiz w ilości przewyższającej zapotrzebowanie naszych dewiz na rynkach zagranicznych.

Dotychczasowa deflacja dobiegła kresu — poza którą już nie uzdrawia ona, lecz wyniszcza gospodarczo nasze życie. Na szczęście — równocześnie zmieniły się w świecie stosunki, zostały stworzone precedensy, umożliwiające nam stanowczy odwrót z dotychczasowej drogi kurczenia naszego obrotu pieniężnego na drogę reflacji.

Ekonomja jednak klasyczna dowodziła, że bynaj-

mniej nie zasób posiadanych pieniędzy jest źródłem bogactwa narodów, jeno praca, stwarzająca nowe wartości.

I we wszystkich podręcznikach ekonomji w ciągu zgórą stu lat uczono o „błędach merkantylistów”, którym kres ostateczny jednak położyła genjalna krytyka Smitha.

Istotnie od Smitha po wielką wojnę nietylko autorowie teoretycznych systemów nauki gospodarstwa społecznego, lecz kierownicy polityki ekonomicznej państw przestali się zajmować zagadnieniem, jak powiększać zasoby pieniężne kraju.

A jednak żadne rozumowania nie są w stanie przekreślić faktu, że po dziś dzień przodują w postępie gospodarczym Europy te państwa, które prowadziły w XVII i XVIII w. politykę merkantylną: Anglja, Francja, Belgja, Holandja. Nie była więc polityka merkantylistów — głupią. Smith tak łatwo przekonał swych współczesnych o jej błędach — bo stała się ona wówczas niepotrzebną.

I była niepotrzebna narodom przez całe poprzedzające ostatnią wojnę światową półtora wieku.

Niewątpliwie pieniądze nie są same przez się bogactwem społeczeństw. Są one bogactwem tylko dla jednostek i to względnem. Gdyż zarówno wtedy, gdy są sporządzone z materjału posiadającego własną

jako dobro użyteczne wartość, jak i wtedy, gdy wartość ich została im jedynie przez państwo nadana — zawsze reprezentują one poza wartością materjału, z którego zostały zrobione, jeszcze pewien udział w dochodach i majątku społeczeństwa, pewną ilość znajdujących się w jego posiadaniu dóbr, służących konsumcji lub dalszej produkcji.

I wielkość tego udziału zależy, przy danej ilości pieniędzy, od rozmiarów produkcji i sił wytwórczych społeczeństwa. Gdy ilość wytwarzanych i nagromadzanych dóbr się powiększa, a ilość pieniędzy pozostaje bez zmiany, każda jednostka pieniężna reprezentuje większy udział w produkcji i siłach wytwórczych społeczeństwa. Rośnie wtedy wartość pieniędzy w stosunku do dóbr. Nominalnie dochody i majątki pozostają wprawdzie bez zmiany — ale zwiększają się realnie. Odwrotnie, gdy ilość dóbr w kraju pozostaje bez zmiany, a rośnie ilość pieniędzy — siła ich nabywcza maleje, dochody i majątki rosną nominalnie ale nie realnie.

Powyższe twierdzenie teorji ilościowej jest, jak to już raz poprzednio powiedziałem — bezsporne.

Ale choć pieniądz, poza wartością materjału, z którego został sporządzony, nie jest bogactwem — to jednak jest w dzisiejszym ustroju spo-

łecznym niezbędnym czynnikiem powstawania i wzrostu bogactwa społecznego.

Ponad wszelkiemi dedukcjami i wykresami matematycznemi stoi fakt codziennego doświadczenia, że mogą być w kraju duże bogactwa naturalne, liczni, poszukujący pracy robotnicy, należycie wykształceni technicy i dobrzy administratorzy. — Ale te wszystkie czynniki produkcji będą marnieć w nieczynności — dopóki nie zjawi się pieniężny kapitał, który wprowadzi je we współdziałanie i w obrót rynkowy. W przemyśle Żyrardowa, Dąbrowy, Sosnowca pracują polscy robotnicy, inżynierowie, dyrektorzy. Zużywa on w znacznej części surowce krajowe. Ale choć były te siły ludzkie i te surowce przed jego powstaniem — nie mogliśmy sami go powołać do życia. Powstał on dopiero wtedy, gdy przypłynęły do byłego Królestwa kapitały pieniężne z zachodu.

Rolę zasobów i kapitałów pieniężnych* w procesie rozwoju produkcji można przyrównać do roli pasów transmisyjnych w fabryce. Jest motor, który każdej chwili gotów jest pójść w ruch, są maszyny, które poruszone siłą motoru zaczną przerabiać suro-

---

* Wprawdzie nie każdy zasób pieniężny jest kapitałem. Ale dla nagromadzenia się kapitałów — konieczne jest jednak istnienie i zwiększanie się zasobów pieniężnych społeczeństwa.

wiec, są przygotowane do przetworzenia przez te maszyny materjały produkcji — ale fabryka stoi, nie pracuje, — bo niema pasów łączących motor z maszynami.

Raz jeszcze powołuję się na przytoczone już na początku tych rozważań słowa ministra Zarzyckiego, że „bogactwa naturalne czy wyprodukowane niewiele są warte, jeśli nie zostaną zamienione na wartościowy pieniądz".

Jest to prawda tak oczywista, iż jest niemal banalna. A jednak nietylko dawna ekonomja liberalna pierwszej połowy XIX w., lecz i współczesna psychologiczno-matematycznego kierunku — zaczynająca analizę rynku od rozważań na temat naturalnej wymiany między posiadaczem orzechów, a posiadaczem jabłek — o prawdzie tej chętnie zapomina.

A nie zastanawiano się od czasów Smitha nad ilością potrzebnych społeczeństwu pieniędzy, — gdyż żaden kraj braku ich nie odczuwał. Dokonywał się bowiem automatycznie rozdział ich wśród wszystkich społeczeństw odpowiednio do rozwoju w nich gospodarki pieniężnej. I raczej przypływ pieniędzy, z krajów wysoce uprzemysłowionych do krajów przeważnie rolniczych, wyprzedzał wzrost zapotrzebowania ich przez te ostatnie, a nie był jego skutkiem.

Nie wskutek rozwoju naszego przemysłu górniczego, hutniczego, bawełnianego i zapotrzebowania przezeń kapitałów, napływały do Królestwa w ostatnich 60 latach przed wojną światową coraz obficiej pieniądze z Niemiec, Belgji i Francji — ale przemysł ten się u nas rozwijał wskutek imigracji kapitałów przemysłowych z zachodu.

W krajach mających dużo opadów deszczowych, gdzie automatycznie rośliny zasilane są wodą, niezbędnym pośrednikiem między niemi a znajdującemi się w ziemi pożywnemi dla nich solami, będącą — nikt się nie zajmuje kwestją nawadniania pól. Ale podstawą kultury rolniczej Egiptu i Mezopotamji były już przed czteroma tysiącami lat umiejętnie budowane i skrzętnie utrzymywane kanały, rozprowadzające wodę z wielkich rzek po całym kraju.

W XVI i XVII wieku polityka merkantylna tak bardzo zajmowała się kwestją dostarczenia krajom, nie posiadającym własnych kopalń kruszców, pieniędzy, że wypracowała cały system odpowiedniej polityki handlowej — bo zapotrzebowanie pieniędzy w północno-zachodniej Europie zarówno ze strony państw, coraz bardziej centralizujących się i opierających swą potęgę na zaciężnych armjach i zawodowej administracji, jak i ze strony rozwijającego się coraz silniej handlu morskiego, rosło szybciej od automa-

tycznego ich przypływu do tych krajów z hiszpańskich posiadłości amerykańskich.

Ale XIX wiek zwiększył wielokrotnie produkcję kruszców szlachetnych i równocześnie wytworzył nie istniejące poprzednio zasilanie przez kraje silnie rozwiniętego kapitalizmu swą przedsiębiorczością i swemi kapitałami krajów rolniczych, oraz słabo uprzemysłowionych.

Polityka merkantylna ściągania z zagranicy pieniędzy do własnego kraju, stała się niepotrzebną. — I można było, nie stając w sprzeczności z faktami, postawić tezę, że pieniądze idą za przedsiębiorczością. Bo istotnie, gdy tylko w jakim kraju zaczynała się rozwijać przedsiębiorczość kapitalistyczna, napływały doń natychmiast pieniądze w ilościach, pokrywających w pełni zapotrzebowanie ich ze strony nowo powstającego przemysłu.

Jeno, formułując tę tezę, zapominano dodawać, że to dopiero w dalszych fazach uprzemysławiania się społeczeństw środkowo i wschodnio - europejskich rozwój własnej ich przedsiębiorczości przyciągał z zagranicy kapitały pieniężne. Pierwszy zaś impuls rozwojowi ich przemysłowemu dawała imigracja z zachodu dysponujących własnemi kapitałami przedsiębiorców, przypływ więc równoczesny i organizacyjnej inicjatywy i pieniędzy. Sama zagranicz-

na inicjatywa, bez zagranicznych pieniędzy, nie stworzyłaby u nas ani Łodzi, ani zagłębia dąbrowieckiego. Bo krajowych kapitałów nie było.

Po wojnie ustał niemal zupełnie przypływ kapitałów przemysłowych z zachodniej do wschodniej Europy. Co więcej, ustał też międzynarodowy wolny obrót pieniędzy. Złoto leży zamknięte w skarbcach banków emisyjnych. I znów podobnie, jak w początkach XVII w., znajduje się ono w nadmiarze w jednych krajach, a brak go w innych.

W innej oczywiście formie, niż to się działo przed 300 laty (bo zmienił się zasadniczo ustrój państw) — odżywają jednak dziś znów dyskusje na temat zaopatrzenia państw, nie posiadających dostatecznych kapitałów ruchomych, w pieniądze przez państwa, w których skoncentrowała się większość światowego zasobu złota. Jeno gdy w czasach Colberta radzono o tem, jak mają ci, którym brak pieniędzy, zabrać je nadmiernie bogatym, przedewszystkiem Hiszpanji, dziś projektuje się odpowiednią akcję międzynarodowej współpracy, którąby zarazem dała angielsko-amerykańskim koncernom bankowym zwierzchnią kontrolę nad przedsiębiorczością krajów biernego kapitalizmu. Taki jest istotny sens najnowszego projektu Keynesa.

Zbyt wiele istnieje obecnie przeciwieństw politycz-

nych w świecie, zbyt widoczny jest upadek autorytetu Ligi Narodów — by pomysły podobnej międzynarodowej repartycji kapitałów pieniężnych miały jakiekolwiek szanse urzeczywistnienia w możliwej do przewidzenia przyszłości.

Zwracam jednak na nie uwagę, by stwierdzić, że z chwilą gdy ustała tak silna w ciągu całego XIX w., i aż do samej wojny, emigracja przedsiębiorczości i kapitałów z krajów wysoce uprzemysłowionych do krajów przeważnie rolniczych i nie posiadających dostatecznych zasobów pieniężnych dla rozwoju swego przemysłu własnemi siłami — formuła ekonomji liberalnej, iż pieniądz idzie za przedsiębiorczością, przestała być prawdziwą, słuszną natomiast staje się znów troska merkantylistów o powiększanie bogactwa pieniężnego kraju, jako głównej dźwigni jego postępu gospodarczego i jego mocarstwowej potęgi.

Co do nas musimy zdać sobie sprawę z tego:

1) że mamy dziś nie mniejsze przeludnienie wsi, niż w ośmdziesiątych latach ubiegłego wieku — zanim jeszcze była się rozwinęła silna emigracja zarobkowa do Ameryki i do Niemiec;

2) że jednak nie możemy dziś spodziewać się, by nawet po zupełnem ustaniu na zachodzie kryzysu wytworzyło się w świecie równie silne zapotrzebowanie naszych rąk roboczych, jak przed wojną;

3) że zatem zapobiec biednieniu społeczeństwa, wskutek szybszego przyrostu ludności od wzrostu jej dochodów, może tylko jak najforsowniejsze uprzemysławianie kraju;

4) że znów jednak nie możemy dziś liczyć na to, by jak przed wojną uprzemysławiała nam Polskę imigracja zagranicznej przedsiębiorczości i zagranicznych kapitałów;

5) że więc musimy sami sobie wytworzyć czynniki naszego przemysłowego rozwoju: jak najliczniejszą warstwę przedsiębiorców (nasamprzód drobnych i średnich), oraz jak największe zasoby ruchomych kapitałów.

Nowa warstwa przedsiębiorcza wytwarza się u nas samorzutnie. I tempo narastania jej przyśpieszy jeszcze coraz ostrzej dający się odczuwać brak posad dla świeżo kończącej wyższe szkoły młodzieży. Ale powszechne w świecie kontyngentowanie przywozu — uniemożliwia prawie wywalczenie sobie przez nas tak czynnego bilansu handlowego, by przewyżki jego nietylko starczyły na spłatę naszych zobowiązań dłużnych wobec zagranicy, lecz pozatem jeszcze zapewniły nam wzrost naszych zasobów pieniężnego kapitału.

Więc punktem wyjścia nietylko przełamania obecnego zastoju wszelkiej u nas przedsiębiorczości, lecz

i jakiejkolwiek na przyszłość czynnej polityki ekonomicznej, podnoszącej dochody i siły wytwórcze kraju — musi być powiększanie pieniężnych kapitałów społeczeństwa, pomimo, że ani na otrzymanie, ani na zdobycie ich zagranicą realnie dziś i przez długie lata liczyć nie możemy.

Jeszcze parę lat temu byłoby to zadanie nierozwiązalne. Dziś — gdy banknot staje się naprawdę pieniądzem kredytowym o pewnem tylko jądrze złotem — możemy zapomocą odpowiednich operacyj kredytowych Banku Polskiego sami sobie dostarczyć kapitałów pieniężnych, niezbędnych dla zespolenia i uruchomienia w procesach produkcyjnych istniejących w kraju, lecz nieczynnych dziś, inicjatyw przedsiębiorczych, umiejętności technicznych, sił roboczych i surowców.

*

Przez reflację prowadzi droga wyjścia nietylko z obecnego kryzysu, lecz i z biernej dotychczas pod

wszystkiemi względami gospodarczej naszej pozycji w świecie.

W haśle reflacji nie może jednak zamykać się cały program przełamania istniejącego u nas zastoju gospodarczego.

Bo pomoże nam tylko rozumnie przeprowadzona reflacja — a nieopatrznie przeprowadzona stanie się szkodliwym na przyszłość zastrzykiem podniecającej narkozy.

I jeśli dobre skutki powiększenia obiegu pieniężnego i rozszerzenia akcji kredytowej nie mają za lat parę minąć, podobnie jak minęło ożywienie, spowodowane w 1927 i 1928 r. przypływem zagranicznych kredytów, — to wraz z powiększeniem obiegu pieniężnego trzeba rozpocząć naprawdę planową, konsekwentnie podnoszącą siły ekonomiczne społeczeństwa, politykę ekonomiczną i skarbową.

Jakże więc należy przeprowadzać u nas reflację — by była rozumną, a nie nieopatrzną?

By należycie odpowiedzieć na to pytanie — przypomnijmy sobie nasamprzód właściwy jej cel. Jest nim podniesienie siły nabywczej naszego rynku wewnętrznego.

Ale ledwo $1/3$ ogólnej sumy dochodu naszego społeczeństwa podlega podatkowi dochodowemu. Zatem $2/3$ naszego dochodu społecznego składa się z docho-

dów drobnych, nie przewyższających 1.500 zł rocznie. A na 3.245 milj. zł opodatkowanych w 1931 r. dochodów — dochody górnictwa i przemysłu fabrycznego wynosiły tylko 477 miljonów. I na 1.200 milj. płatników podatku dochodowego zaledwie 60 tysięcy miało w 1929 r. dochody przewyższające 12.000 zł rocznie.

U nas znacznie bardziej, niż na zachodzie, o konsumcji krajowej decyduje siła nabywcza mas włościańskich, robotniczych i drobno-mieszczańskich, siła nabywcza niezamożnej i średniozamożnej warstwy, a nie zapotrzebowanie wielkich przedsiębiorstw.

Głównym błędem naszej inflacji kredytowej 1927 i 1928 r. było, że zużyto ją przeważnie na inwestycje, mające podnieść wydajność wielkiego przemysłu i folwarcznego rolnictwa. A wiele tych inwestycyj zmniejszyło zapotrzebowanie rąk roboczych, zamiast wzmacniać osłabiało siłę nabywczą rynku wewnętrznego, tem bardziej, że polegały one przeważnie na zakupach zagranicznych maszyn. Bardziej więc od naszej produkcji ożywiały one naszą wymianę handlową z zagranicą, i to głównie nasz import. Spodziewany zaś w przyszłości wzrost eksportu nie nastąpił, bo tymczasem wybuchł kryzys światowy.

Po raz drugi błędu tego powtarzać nie można.

Zwiększona emisja banknotów wtedy tylko podniesie siłę nabywczą i konsumcyjną naszego społeczeństwa w tej samej niemal proporcji, co i obieg pieniężny — gdy zostanie w całości niemal zużyta na zatrudnienie przynajmniej połowy bezrobotnych.

Według oficjalnej statystyki jest u nas obecnie około 300.000 bezrobotnych. Gdy jednak zważymy, że w górnictwie, hutnictwie i przemyśle fabrycznym w końcu 1928 r. pracowało 862 tysiące ludzi, a w końcu 1932 — 472, t. j. o 390 tysięcy mniej, że w ciągu ostatnich 3 lat wróciło z emigracji do kraju o 11 tysięcy więcej osób, niż wyjechało za granicę, że więc cały przyrost małorolnej ludności pozostaje teraz w kraju, gdy w latach poprzedzających kryzys wyjeżdżało na wychodźtwo zarobkowe co roku o 100 tysięcy więcej ludzi, niż wracało, że utraciła pracę znaczna też ilość czeladzi rzemieślniczej i służby domowej — dojdziemy do wniosku, iż naprawdę zwyż 600.000 ludzi pozbawione jest dziś zarobków.

Więc dla przełamania obecnego zastoju trzeba dać jak najszybciej zarobek około 300.000 robotników i małorolnych włościan.

O zatrudnieniu takiej masy ludzi w organizowanych przez państwo za pieniądze podatkowe robotach publicznych — serjo nie można mówić.

Raczej należałoby się zastanowić, czy wogóle racjonalne jest w społeczeństwie, cierpiącem na brak pieniędzy i kapitałów obrotowych, a przytem przeciążonem już daninami publicznemi, jak o tem stały wzrost zaległości skarbowych świadczy, nakładanie nowych podatków czy dodatków do podatków na cele robót publicznych. Za regułę bowiem można przyjąć, że na każdych 10 ludzi, którym państwo da zarobek przy pomocy wyciśniętych ze społeczeństwa przez śrubę podatkową funduszów — co najmniej 11 straci pracę w prywatnych przedsiębiorstwach.

Roboty publiczne, prowadzone za pieniądze podatkowe lub uzyskane z wewnętrznych pożyczek państwowych, są doskonałym sposobem podniesienia konsumcji własnego społeczeństwa i ożywienia produkcji przeznaczonej dla rynku krajowego — ale tylko wtedy, gdy jest w kraju dużo pieniędzy tezauryzowanych, które wskutek powszechnego zastoju przedsiębiorczości nie znajdują odpowiedniej dla siebie lokaty w prywatnych przedsiębiorstwach.

Polska nie znajduje się w tak szczęśliwem położeniu. Wprawdzie w pewnych kołach opowiada się i u nas o „pończochach", w których mają być przechowane jakieś olbrzymie kapitały. Ale te opowieści zaliczyć trzeba do bajeczek, jakiemi biedne mamy usypiają głodne dzieci.

Funduszami pracy, gromadzonemi z dodatków do podatków, coraz bardziej obciążających prywatną przedsiębiorczość — nietylko nie wywołamy zmiany zniżkowej konjunktury na zwyżkową, lecz nawet nie zmniejszymy poważnie bezrobocia. Bo, powtarzam, więcej ludzi straci przez te fundusze zarobek w prywatnych przedsiębiorstwach, niż uzyszcze w robotach publicznych.

A jednak, jeśli zechcemy przełamać dławiący nas dziś zastój — musimy dać zatrudnienie około 300.000 ludzi.

Prywatne wszakże przedsiębiorstwa dziś tego uczynić nie zdołają, choćby się im otwarło największe kredyty. Bo po okresie przewlekłej depresji żadne z nich nie zacznie zwiększać swej produkcji, dopóki nie zaznaczy się na rynku wzrost zapotrzebowania odnośnych towarów.

Nasamprzód więc trzeba podnieść konsumcję wewnętrznego naszego rynku — a dopiero następnie można przez ułatwienie kredytów zachęcać prywatne przedsiębiorstwa do zwiększania swej produkcji dla krajowych spożywców.

Zatem punktem wyjścia akcji, mającej na celu przełamanie zastoju na

naszych rynkach krajowych, musi być dostarczenie przez państwo zarobków kilkuset tysiącom robotników.

Lecz potrzebne na to pieniądze nie mogą być zabierane prywatnym przedsiębiorstwom. Fundusz robót publicznych nie powinien uszczuplać kapitałów obrotowych prywatnego przemysłu, handlu i rolnictwa. Wtedy tylko stanie się on dźwignią naszej produkcji, gdy powstanie on z nowego przypływu pieniężnych kapitałów do wewnętrznego naszego obrotu rynkowego.

Jak już poprzednio starałem się wykazać — nie możemy serjo spodziewać się dziś przypływu ich z zagranicy. Ale możemy sami go spowodować, zwiększając emisję banknotów, już dziś będących naprawdę, choć jeszcze nie oficjalnie, pieniądzmi kredytowemi o kruszcowem jeno jądrze.

Z chwilą jednak, gdy to sobie powiemy, stają przed nami dwa pytania, które trzeba koniecznie rozstrzygnąć: A) czy silne powiększenie zasobów pieniężnych najszerszych mas ludowych nie podniesie natychmiast

cen w kraju tak, iż wzrośnie dochód społeczeństwa i jego siła nabywcza tylko nominalnie, a nie realnie; B) czy można zwiększać silnie zadłużenie państwa w banku emisyjnym, nie pozbawiając przez to banku tego koniecznego dla utrzymania kursu jego banknotów zaufania i autorytetu?

ad A). Pieniądz jest reprezentantem określonej części realnego dochodu i majątku spoełczeństwa, t. j. masy dóbr, będących w rozporządzeniu ogółu gospodarstw i przedsiębiorstw krajowych. Jeśli więc wzrasta ilość pieniędzy, a nie wzrasta realny dochód i majątek społeczeństwa, reprezentowany przez jednostkę pieniężną, udział w tym dochodzie i majątku maleje, i ceny się podnoszą. Ale gdy wraz z powiększaniem się sumy pieniędzy na rynku podnosi się i suma dostarczanych nań dóbr, wartość pieniędzy nie maleje.

Zatem zużycie zwiększonej emisji banknotów na roboty publiczne, nie podnoszące realnego dochodu społeczeństwa, na budowę gmachów reprezentacyjnych, regulację ulic, nie będących arterjami ruchu handlowego, budowę stadjonów, pływalni, sztucznych torów łyżwowych i wszelkie udoskonalenia naszego cywilizacyjnego życia na modłę kilkanaście razy bogatszych od nas społeczeństw — niewątpliwie będzie obniżać siłę nabywczą pieniądza.

Zapewne musimy i my podnosić naszą kulturę, sta-

rać się o lepsze budynki szkolne, budować więcej szpitali, powiększać nasze muzea i bibljoteki. Ale trzeba to wszystko robić wtedy i o tyle, gdy i o ile mamy na to wystarczające realne dochody — w żadnym zaś razie nie kredyt.

Zlekceważenie tej prawdy było największym błędem tak zwanej „radosnej twórczości" z 1927 i 1928 r. O ile zaś powiększaniu sumy pieniędzy w kraju towarzyszy wzrost realnych dochodów społeczeństwa — wielkość reprezentowanego przez jednostkę monetarną udziału w dochodzie społecznym, t. j. jej siła nabywcza na rynku towarowym pozostaje bez zmiany.

Zużycie kilkuset miljonów kredytów Banku Polskiego na zatrudnienie około połowy realnie bezrobotnej dziś ludności w robotach publicznych — nie spowoduje zniżki siły nabywczej złotego, gdy równocześnie podniesie się ogólna suma dochodu społeczeństwa, gdy więc zwiększy się wydajność naszej pracy i produkcja dóbr, mogących znaleźć zbyt po cenach przewyższających koszt ich wytworzenia, albo zmniejszą się nakłady na materjał, surowce i narzędzia, przy produkcji tych dóbr czynione.

Oczywiście żadne roboty publiczne nie zwiększą dochodu społecznego w ciągu tygodnia, miesiąca czy kwartału. Jeśli bowiem nie mają one wypierać z rynku prywatnych przedsiębiorstw — muszą mieć cha-

rakter inwestycyj, zwiększać siły wytwórcze kraju, a nie sumę dóbr bezpośredniego użytku.

Musi więc minąć jakiś okres czasu, zanim powiększenie sumy pieniężnego dochodu społeczeństwa, wywołane prowadzonemi przy pomocy kredytów Banku emisyjnemi robotami publicznemi, zostanie zrównoważone przez wzrost realnych również dochodów, t. j. stojącej do dyspozycji społeczeństwa (wyprodukowanych i znajdujących zbyt po odpowiednich cenach) sumy dóbr.

A wobec tego reflacja, zapoczątkowana przez kredyty Banku Polskiego, udzielone na wielkie roboty publiczne, spowoduje niewątpliwie pewną tendencję zwyżkową cen, która trwać będzie tak długo, dopóki wzrost realnego dochodu, wywołany temi robotami, nie zwiększy odpowiednio produkcji i konsumcji krajowej. Czy jednak należy nam się obawiać tego rodzaju tendencji zwyżkowej?

Toć mamy jedne z najniższych dziś w świecie ceny. Wskaźnik ich w porównaniu z 1928 r. wynosił w marcu b. r. w Stanach Zjednoczonych 84, w Anglji 74, w Niemczech 69, we Francji 61 — a u nas 57. Co gorsze jednak, wskaźnik cen rolniczych, decydujących o dochodach 72% naszego społeczeństwa, wynosił ledwo 48%. Jest to tak niski poziom cen, że już sam przez się zabija on inicjatywę przedsiębiorczą.

Tendencji zwyżkowej cen na naszym rynku wewnętrznym nietylko nie należy się obawiać, lecz wręcz przeciwnie, trzeba jej sobie życzyć — byle była to zwyżka cen dóbr konsumcyjnych, w szczególności przetworów rękodzielniczych i produktów rolniczych, a nie wytwarzanych przez ciężki skartelizowany przemysł materjałów oraz narzędzi pracy.

Przejdźmy od ogólnych formuł do analizy konkretnych możliwości.

Z inicjatywy i pod kontrolą rządu Rzplitej organizuje się w możliwie najbliższym czasie wielkie roboty publiczne, zatrudniające około 300.000 ludzi. Roboty te powinny służyć poza natychmiastowem wzmocnieniem siły nabywczej mas ludowych również podniesieniu realnych dochodów społeczeństwa najdalej do 3 lat. Zadanie to spełnić mogą przedewszystkiem meljoracje rolne: drenowania, osuszania bagien, regulacja rzek, zabezpieczająca od zalewów wsie i pola, szczególnie w okolicach podgórskich, a dalej budowa i naprawa dróg, zmniejszająca zużycie wozów i koni przy dostawach towarów rolniczych i leśnych do stacyj kolejowych, oraz usplawnianie rzek. Wynagrodzenie, płacone robotnikom przy przeprowadzaniu tych prac, nie musi być wiele większe od maksymalnych dziś zarobków w rolnictwie. Licząc więc 3 zł dziennej płacy, w ciągu 8 miesięcy możliwego u nas dla tego

rodzaju robót czasu, zostałoby zużyte rocznie na jednego robotnika 600 zł, a na 300.000 robotników — 180 miljonów złotych kredytów Banku Polskiego. Wraz z wynagrodzeniem kierujących temi robotami techników, oraz z zakupem narzędzi, materjałów, jako to rurek drenarskich, kamienia, wapna, cementu, trzebaby przeznaczyć na roboty publiczne w pierwszym roku reflacji około 300 miljonów nowej emisji banknotów. Z tych 300 miljonów przeszło 200 miljonów pójdzie na płace robocze i wynagrodzenie personelu technicznego, na zatrudnienie więc bezrobotnych pracowników fizycznych i umysłowych. I na cóż ludzie ci wydadzą ten swój zarobek? Nie na kupowanie akcyj, nie na spekulację terenową, nie na powiększanie swych wkładów oszczędnościowych w bankach, czy własnych kasach ogniotrwałych — ale na nieco lepsze odżywianie się, na sól i okrasę, bez której już od roku się obywali, na ubranie i obuwie — które rozlatuje im się już w strzępy, na zakup wyłącznie niemal produktów rolniczych i rzemieślniczych. Wzrośnie więc wskutek tego zapotrzebowanie niemal wyłącznie artykułów spożywczych i odzieżowych. Niewątpliwie spowoduje to i pewną zwyżkę cen tych towarów.

Ale a) zwyżka ta nie nastąpi odrazu, lecz dopiero po kilku miesiącach, b) będzie ona naogół słabszą od wzrostu zbytu na rynku krajowym, c) nieco silniej się

podniosą ceny rolnicze od cen przetworów przemysłowych.

I włościanie bowiem i rzemieślnicy nasi, szczególnie w prowincjonalnych miasteczkach, tak silnie cierpią dziś wskutek braku zbytu, iż przez dłuższy czas jedynem ich staraniem będzie utrzymać przy sobie nowozjawiających się nabywców, a nie wykorzystanie poprawy stosunków rynkowych dla zwyżki cen. Wywołać ją może dopiero dłuższy wzrost popytu.

Przy tem jednak przy pierwszych już objawach zapotrzebowania artykułów odzieżowych, meblowych, garncarskich podniesie się conajmniej w tym samym stopniu ich produkcja, szczególnie ze strony rzemieślników wytwarzających dla targów. Natomiast zatrudnienie w robotach publicznych znacznej ilości małorolnych zwiększy ich spożycie produktów własnych gospodarstw. Przestaną oni tak strasznie, jak to się dziś dzieje, skąpić sobie i swoim dzieciom chleba, mleka, nawet ziemniaków, bo ustały zarobki i niema innego sposobu zdobycia niezbędnych na podatki czy na spłatę długów pieniędzy, jeno sprzedaż plonów, które przed paru jeszcze laty szły na własne odżywianie. Zmaleje więc obecne wyprzedawanie za bezcen przez małorolnych wszystkiego, co tylko sobie od ust odjąć mogą, i zmniejszy się nieco tak krzywdząca ludność wiejską rozpiętość cen rolniczych i przemysłowych.

Reflacja zużytkowana głównie na roboty publiczne sprowadzi więc w pierwszym roku, po jej rozpoczęciu, nieznaczną zwyżkę cen artykułów spożywczych i to głównie rolniczych, zwyżkę niewątpliwie pożądaną.

Ale co ma zabezpieczyć siłę nabywczą rynku przed raptownym jej spadkiem z chwilą, gdy ustaną roboty publiczne i nowe na nie emisje banknotów?

Boć oczywiście roboty publiczne, finansowane przez kredyty banku emisyjnego, mogą trwać najwyżej lat kilka. I jest granica związanego z niemi powiększania emisji banknotów, po której przekroczeniu nieuchronnie nastąpiłaby gwałtowna dewaluacja pieniądza.

Więc, rozpoczynając roboty publiczne za kredytowe pieniądze, trzeba odrazu postawić sobie pytanie: co będzie po ich zaprzestaniu?

Poprzednio już powiedziałem, iż w ten sposób można racjonalnie prowadzić jedynie rentujące się już po paru latach prace inwestycyjne, przedewszystkiem meljoracje rolne. Prace zaś te, podnosząc wydajnosć tysięcy gospodarstw włościańskich, zwiększą trwale siłę nabywczą wsi i jej zapotrzebowanie przetworów przemysłowych, dając zatrudnienie tysiącom bezrobotnych dziś rękodzielników i robotników fabrycznych.

Ale najlepiej, najrozumniej prowadzone roboty inwestycyjne nie zwiększą jednak przeciętnego dochodu rocznego zmeljorowanych przy ich pomocy przed-

siębiorstw i gospodarstw o 30% kosztów tych inwestycyj.* Jeśli, bynajmniej nie pesymistycznie rachując, za podstawę naszych przewidywań przyjmiemy, że wzrost dochodu gospodarstw rolnych, spowodowany robotami inwestycyjnemi na sumę 300 miljonów, po dwóch latach wynosić będzie rocznie 30 miljonów, a dochody netto przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, wywołane ożywieniem obrotów rynkowych w wyniku zwiększonych zakupów ze strony zatrudnionych dzięki tym robotom bezrobotnych, wyniosą już w pierwszym roku 45 miljonów (15% od sumy obrotowej), w takim razie w ciągu 4 lat wskutek wkładu owych 300 miljonów podniesie się realna siła nabywcza społeczeństwa o $(4 \times 45) + (2 \times 30) = 240$ miljonów. Przypuśćmy dalej, że w drugim ro-

* Jakbym już jednak słyszał zarzut: poco podnosić wydajność gospodarstw rolnych, toć wzrost ich produkcji jeszcze bardziej obniży ceny towarów rolniczych. Obawa to wszakże płonna. Zarobione przez małorolnych włościan pieniądze pójdą przedewszystkiem na zakupy ubrań, narzędzi, pójdą do miast, a przez to powiększą zapotrzebowanie nabiału, mięsa, mąki pszennej ze strony ludności miejskiej. Równocześnie zaś zwiększy się, jak to już poprzednio wskazałem, konsumcja własnych produktów w gospodarstwach małorolnych. A wobec tego i wzrost wydajności gruntów włościańskich i wywołane niem powiększenie zasiewów pszenicy oraz produkcji nabiału, mięsa i roślin technicznych, żadną miarą nie obniży cen tych towarów na naszych rynkach krajowych poniżej ich obecnego poziomu.

ku zostanie na roboty publiczne, dzięki wywołanemu już zwiększeniu prywatnej przedsiębiorczości wydane 200 miljonów, w trzecim zaś i czwartym po 100, w takim razie w ciągu tych 4 lat, licząc konsekwentnie wedle tego samego wzoru, otrzymamy wzrost realnej siły nabywczej społeczeństwa o (240 + 110 + 15 + + 15) = 380 milj., gdy odpowiednie inwestycje pochłonęły i wprowadziły w obrót pieniężny rynku krajowego 700 miljonów. Tak wielka jednak różnica we wzroście nominalnych a realnych dochodów społeczeństwa — musiałaby sprowadzić pod koniec tego okresu zbyt silną zwyżkę kosztów utrzymania, coby ujemnie oddziałało na nasz eksport i nagromadzanie się oszczędności, a więc i na rozwój przedsiębiorczości prywatnej.

Robotami publicznemi i powiększeniem emisji banknotów można zainicjować skutecznie przełamanie depresji na rynku wewnętrznym. Nie są to jednak środki wystarczające dla wytworzenia stałego wzrostu konsumcji i produkcji krajowej. Równolegle musi pójść ożywienie przedsiębiorczości prywatnej nietylko w gałęziach produkujących dobra najpierwszej potrzeby, oraz wzmożenie eksportu.

Już samo przeprowadzenie zasady, że przyznawane nam przez państwa wierzycielskie kontyngenty importu muszą równoważyć nietylko import tych krajów do nas, lecz i nasze płatności dłużne wobec nich — rozszerzyłoby znacznie możliwości naszego wywozu.

A przecież jest w świecie jeszcze i niekontyngentowany import. I głównym warunkiem zdobycia odnośnych rynków zbytu — jest dostarczenie na nie dobrego i taniego towaru.

Skartelizowany nasz wielki przemysł, by móc tanio oferować swe produkty zagranicą, każe drogo sobie za nie płacić konsumentom krajowym. Nie powiększa to dochodów społeczeństwa, ani jego siły nabywczej. Im drożej nasz konsument płaci za cukier ponad cenę uzasadnioną rzeczywistemi kosztami produkcji — tem mniej mu pozostaje na zakup mąki, mięsa, nabiału, obuwia. Im wyższe są u nas ceny żelaza i stali — tem mniejszy może być zbyt gotowych przetworów metalurgicznych na rynkach krajowych i zagranicznych.

Nie obciążając natomiast zgoła społeczeństwa jakiemikolwiek dopłatami, czy to w formie premij eksportowych, czy przez płacenie nazbyt wysokich cen na rynkach krajowych, — możemy naprawdę bardzo tanio oferować na wszystkich rynkach światowych wy-

roby ręcznej pracy przemysłowej. Bo i płace robocze i koszty utrzymania — są u nas jedne z najniższych w Europie.

A jest jeszcze bardzo duże zapotrzebowanie na ręczne przetwory z łozy, drzewa, metalu, wełny, lnu: kosze, meble wyplatane, galanterję rzeźbioną, inkrustowaną, dywany, obrusy, koronki, hafty... W chałupniczej produkcji tego rodzaju towarów w 1910 r. było zatrudnionych we Francji prawie pół miljona osób, a dziś jeszcze pracuje w niej około 300.000 ludzi, pomimo tak silnie rozwiniętego tam przemysłu fabrycznego.

To wszystko, co wytwarzają ręcznie pracujący chałupnicy francuscy, szwajcarscy, południowo-niemieccy, a prócz tego wiele rzeczy produkowanych na zachodzie maszynowo, nasza ludność małorolna może wytwarzać po wsiach nie gorzej, a o wiele taniej.

Szanse rozwoju ręcznej produkcji na eksport są naprawdę bardzo duże.

Ale trzeba się do sprawy tej zabrać zgoła inaczej, niż to dotychczas robiliśmy. Trzeba przestać marzyć o zaimponowaniu światu naszą ludową sztuką, naszemi kilimami, huculskiemi garnkami, zakopiańskiemi łyżnikami... Zbyt w obcych krajach zdobywa się, dostosowując się do gustów i przyzwyczajeń ich ludności. Trzeba u nas produkować hafty st. galeńskie, koronki

brabanckie, obrusy bretońskie, dywany perskie, francuskie, angielskie. I trzeba zainteresować tem odpowiednie firmy handlowe zagraniczne. Nie trzeba bać się oburzenia ultranacjonalistów, bardziej nienawidzących obcych, niż kochających własny naród, ani radykalnych społeczników, którzy wolą, by chłop marł z głodu, niżby miał na nim kapitalistyczny wyzyskiwacz za wiele zarobić. Kiedyś, kiedyś może potrafimy stworzyć kooperatywy, które będą skutecznie zdobywać rynki światowe dla chałupniczej naszej ręcznej produkcji. Dziś nie mamy ani odpowiednich do tego ludzi, ani dość należytej znajomości rynków światowych, ani dostatecznych kapitałów. By dać zarobek kilkuset tysiącom małorolnych w chałupniczej na eksport produkcji, jest naprawdę tylko jeden sposób: zainteresować organizacją jej u nas wielkie zagraniczne firmy handlowe — bez oglądania się na ich pochodzenie narodowe i rasowe. Przed wojną światową pracowało co roku pół miljona naszej młodzieży włościańskiej w fabrykach niemieckich, amerykańskich, francuskich. Dziś emigracja zarobkowa ustała niemal zupełnie. Ale możliwe jest zastąpienie jej przez pracę setek tysięcy naszej młodzieży włościańskiej we własnych wsiach i domach dla zagranicznych firm nakładowych, czy domów towarowych.

Oczywiście samo się to nie stanie. I nie doprowadzi

do tego najusilniejsza propaganda. Może i powinien zorganizować odpowiednią akcję rząd. Tylko wychodząca od rządu inicjatywa może znaleźć należyty oddźwięk w zagranicznych kołach handlowych. Konieczne też byłoby wysłanie zagranicę znaczniejszej ilości ludzi o odpowiedniem wykształceniu, z którychby potem powstali dobrzy fachowi instruktorzy. Trzebaby również zorganizować kredyt dla włościan, na zakupno należytych warsztatów i narzędzi.

Naturalnie nie da się to wszystko zrobić w jednej chwili. Ale po 4, a tem bardziej 6 latach energicznie poprowadzonej w powyższym kierunku działalności, można oczekiwać poważnych wyników, dostarczenia dodatkowego zarobku kilkudziesięciu tysiącom małorolnych gospodarstw włościańskich. A nie jest to jedyny przecie sposób podniesienia prywatnej u nas przedsiębiorczości.

Dużo się do tego przyczynić może choćby tylko odpowiednia reforma podatku dochodowego i przemysłowego.

W początkach naszej odnowionej po niewoli państwowości — powszechnie chcieliśmy wszyscy wszystko urządzać u nas jak najlepiej, najnowocześniej.

A tymczasem struktura naszego życia gospodarczego jest w porównaniu z zachodem ogromnie jeszcze prymitywna. To też o wiele dla nas odpowiedniejsza

byłaby organizacja podatków wzorowana na tem, co było we Francji w połowie XIX wieku, aniżeli na tem, co jest dziś w Anglji.

Szczegółowe omówienie tej sprawy wykracza poza zadanie niniejszej broszury. Może uda mi się uczynić to niezadługo w osobnej rozprawce. Narazie tylko stwierdzam, że powszechna w sferach drobnego przemysłu obawa, iż gdy tylko ktoś się zaczyna dorabiać, władza skarbowa natychmiast przyrost dochodu mu zabierze — zniechęca masę ludzi i hamuje ich przedsiębiorczość.

Rozwój zaś przedsiębiorczości jest dla naszej przyszłości cywilizacyjnej i mocarstwowej nieskończenie ważniejszy od ścisłości i sprawiedliwości wymiaru podatku.

Coroczny wymiar podatku dochodowego i obrotowego na podstawie składanych zeznań można pozostawić dla wielkich przedsiębiorstw, szczególnie przedsiębiorstw akcyjnych. Ale indywidualnym, drobnym i średnim, zatrudniającym do 50 robotników przedsiębiorstwom. byłoby o wiele lepiej wymierzać podatek dochodowy co 5 lat na podstawie rzeczowych momentów, jakoto wielkości lokalu przemysłowego, ilości zatrudnionych robotników, siły popędu mechanicznego. Stworzy to automatyczną premję dla każdego, kto potrafi z roku na rok swe dochody podnosić i tą

samą ilością robotników i maszyn więcej lub taniej wytwarzać. Celowe też, sądzę, byłoby zwalniania nowo powstających drobnych i średnich przedsiębiorstw przemysłowych na szereg lat, częściowo lub nawet całkowicie, od wszelkich bezpośrednich podatków.

Nie wydaje mi się zaś słuszny argument, iż nie można przeprowadzać reformy podatków w czasach kryzysu i malejących wpływów skarbowych.

Wręcz przeciwnie, właśnie teraz trzeba uczynić wszystko co może dopomóc do przełamania zastoju przedsiębiorczości. A gdy przyczynić się do tego może niemało i odpowiednia reforma systemu podatkowego, to zwlekać z nią nie należy. Zamiast odkładać ją do lepszych czasów — lepiej zdecydować się na kilka lat planowego deficytu budżetowego. Pokrywać zaś go możnaby pożyczkami wewnętrznemi, nie uszczuplając kapitałów obrotowych przedsiębiorstw prywatnych, — o ileby się na okres tych deficytów zawiesiło ubezpieczenia społeczne.

Są więc środki na to, by wraz z podniesieniem siły nabywczej rynku wewnętrznego przez roboty publiczne wzmacniać również prywatną przedsiębiorczość i eksport.

Racjonalnie zastosowane, mogą one zapewnić wzrost realnych dochodów społeczeństwa już w drugim roku reflacji co najmniej o kilkadziesiąt miljonów złotych.

A w takim razie po czterech latach robót publicznych i zużyciu na nie 700 milj. kredytów Banku Polskiego wzrost nominalny dochodów, osiągniętych w tym czasie przez społeczeństwo nasze, będzie przewyższać realny ich wzrost co najwyżej o 25%. Ponieważ jednak już w trzecim i czwartym roku coraz większa część przyrostu pieniężnego dochodu będzie kapitalizowana, a nie zużywana na bezpośrednią konsumcję, więc przeciętny poziom cen nie podniesie się w tym samym stosunku, jeno mniej, nie dochodząc prawdopodobnie do 20% ponad obecny ich poziom, natomiast spadnie stopa procentowa.

Jedno i drugie jest niewątpliwie pożądane. Dużo może zrobić inicjatywa i zachęta rządowa dla ożywienia energji przedsiębiorczej w narodzie. Dużo się też może ku temu przyczynić odpowiednia reforma podatkowa. Ale zawsze i wszędzie najsilniejszemi bodźcami przedsiębiorczości były: stała, umiarkowana zwyżka cen z równoczesną zniżką stopy procentowej.

W piątym zaś i szóstym roku możnaby już zaprzestać finansowania robót publicznych kredytami Banku Polskiego. O ile jednak nie wytworzy się zpowrotem w ciągu najbliższych 4 lat silne zapotrzebowanie naszych rąk roboczych na zachodzie — konieczne będzie dalsze jeszcze prowadzenie wielkich robót publicznych. Zresztą należyte zmeljorowanie rolniczej prze-

strzeni Polski może dać zatrudnienie zgórą 100 tysiącom ludzi o wiele nawet dłużej niż przez 6 lat. I czas byłby bodaj zastanowić się nad dwoma następującemi pytaniami: 1) czy nie korzystniejszem jest zatrudnianie bezrobotnych w wielkich inwestycyjnych robotach publicznych, niż udzielanie im zapomóg, i 2) czy nie należy uznać wzorem Włoch, że meljoracje rolne są w wyższym stopniu sprawą przyszłości gospodarczej narodu, niż sprawą osobistych chęci lub niechęci poszczególnych właścicieli gruntów, że więc państwo ma prawo z własnej decyzji przeprowadzać roboty meljoracyjne na prywatnych gruntach, bez zgody nawet ich właścicieli, byle zapewniło im naprawdę dogodny sposób spłacenia kosztów tych przymusowych ulepszeń ich gospodarstw.

Za wykonywane w pierwszych 4 latach przy pomocy robót publicznych meljoracje prywatnych, przeważnie włościańskich gruntów — właściciele ich mogliby zacząć płacić dopiero po 4 latach, a więc dopiero wtedy, gdy ulepszenia te w pełni się już będą rentować, i gdy spowodowany reflacją wzrost siły nabywczej społeczeństwa zmniejszy nadmierną dziś rozpiętość cen rolniczych i przemysłowych, oraz ułatwi ludności wiejskiej odkładanie gotówki. Przytem spłaty te mogłyby być rozłożone na lat 30, a oprocentowanie mogłoby nie przewyższać 2½% rocznie.

Potrzebne bowiem dla wykonania tych robót fundusze powstałyby — wedle tego, co poprzednio mówiłem — z reflacyjnej emisji banknotów, a nie z depozytów, składanych w Banku Polskim, przezeń oprocentowywanych. Niema więc żadnej dobrej racji, dla której Bank Polski musiałby żądać oprocentowania udzielonych przez się na cele robót publicznych kredytów ponad normalną stopę procentową długoterminowych na zachodzie pożyczek.

W piątym jednak i szóstym roku roboty publiczne, o ileby były jeszcze konieczne, mogłyby już być prowadzone zapomocą funduszów, uzyskiwanych z podatków, lub wewnętrznych pożyczek. Wraz z tem ustałoby powiększanie obiegu pieniężnego a conto przyszłego wzrostu dochodów społeczeństwa. Dalsze ewentualnie emisje banknotów mogłyby już mieć miejsce tylko w miarę rozszerzania się obrotów na podstawie ściśle handlowych kredytów. Równocześnie jednak zaczną się rentować meljoracje, dokonane w trzecim i czwartym roku. A wraz z tem przyrost realnej sumy dochodu społecznego wyprzedzać będzie wzrost obiegu pieniężnego. Po sześciu latach tego rodzaju planowej polityki podnoszenia siły nabywczej rynku wewnętrznego, początkowo ponad poziom rzeczywistych dochodów społeczeństwa, a następnie stopniowego przybliżania sumy realnych dochodów do nominalnych

— dokonany w tym czasie dwukrotny przeszło wzrost obiegu pieniężnego odpowiadać będzie wzrostowi wymiany towarów na rynkach krajowych. Niewiele on zresztą przewyższy wówczas obieg pieniężny, jaki był u nas z 1928 r., gdy obok 1,500.000 zł. mieliśmy w kraju kilkadziesiąt miljonów dolarów.

A że zarazem przestaniemy być najbiedniejszym w zasoby pieniężne po Litwie i Bułgarji krajem Europy — bo nawet Rumunja ma dziś dwa razy od nas większy na głowę ludności obieg banknotów — to też źle nie będzie.

ad B). Punktem wyjścia powyżej skreślonego planu są roboty publiczne, finansowane w ciągu 4 lat przez Bank Polski, któryby w tym celu zwiększył swą emisję banknotów o 700 miljonów złotych.

Choć jednak dzieje się obecnie w świecie wiele rzeczy, które jeszcze przed kilku laty byłyby powszechnie uznane za szaleństwo, a jednak dają dobre wyniki — przecież myśl tak olbrzymiego zadłużenia się skarbu państwa w bankach emisyjnych musi budzić wielkie obawy.

Całe dotychczasowe dzieje wskazują, jak niebezpieczne jest pokrywanie emisjami banknotów deficytów budżetowych. Wcześniej czy później sprowadza ono zawsze dewaluację pieniądza.

A gdy bank emisyjny otworzy skarbowi państwa

kredyty, równające się połowie rocznego budżetu — choć na cele ściśle określone i do tego produkcyjne — pokusa zużytkowania ich na łatanie niedoborów skarbowych będzie zbyt silna; i nie wiele jest nadziei, by się jej rząd w trudnych finansowo chwilach potrafił oprzeć. Zawsze wtedy znajdzie się jakaś „interpretacja“, uzasadniająca koniecznością państwową „chwilową“ zmianę przeznaczenia tych kredytów.

Więc roboty publiczne powinny być prowadzone pod kierownictwem i kontrolą rządu — ale nie przez rząd.

Trzebaby zatem powołać do życia specjalne instytucje, o obywatelskim raczej składzie, mające jednak charakter prawno-publiczny: jedną opartą o izby i stowarzyszenia rolnicze, drugą o samorządy miejskie i powiatowe, i dać im do dyspozycji fundusze, stworzone przez gwarantowany przez Skarb państwa i zwrotny w ciągu 38 lat kredyt Banku Polskiego. Fundusze te nie stałyby w żadnym związku z budżetem państwowym. Ale znajdowałyby się one z tytułu prawno-publicznego charakteru zarządzających niemi instytucyj pod kontrolą władzy nadzorczej, złożonej z przedstawicieli a) Rządu, b) Banku Polskiego, c) Sejmu.

Wraz z tem możnaby oczywiście znieść obecny „fundusz pracy“, co ułatwiłoby usunięcie deficytu budżetowego.

*

Czyż więc gospodarka planowa i wzmożona jeszcze bardziej ingerencja władzy państwowej w życie gospodarcze społeczeństwa?

A przecież Polsce nadewszystko potrzeba wzmożenia indywidualnej przedsiębiorczości.

Bo Polska nie może stać na miejscu ani w swym mocarstwowym, ani w swym gospodarczym rozwoju. Położona między dwoma potężnemi państwami, które przez sto lat zgórą jej ziemiami władały, albo będzie ona rosła ciągle w siły i znaczenie w ludzkości, albo znów po czasie zostanie rozdarta. Nie można być jednak wielkiem mocarstwem, pozostając nadal jednem z najbiedniejszych w Europie społeczeństw. Dziś jednym z głównych czynników naszej siły, jest szybki przyrost ludności. Ale doszliśmy już do kresu przeludnienia wsi. Ze wszystkich położonych na północ od Alp krajów europejskich, Polska ma najmniej ziemi na jedną pracującą w rolnictwie osobę. Natomiast tylko Litwa i Bułgarja mają mniejszy jeszcze od nas odsetek ludności zatrudnionej w przemyśle. Ani nie wyżywimy przyrostu naszej ludności, ani nie będziemy mieli równego Niemcom zaopatrzenia naszej armji w broń, amunicję i maszyny wojenne, — jeśli nie podniesiemy naszej produkcji przemysłowej do istniejącej dziś choćby tylko na Węgrzech normy (u nas pracuje w przemyśle 10%, na Węgrzech 20%).

Jak już jednak poprzednio powiedziałem, nie możemy liczyć na to, by obecnie, jak przed wojną, budowała nam przemysł imigracja zagranicznej przedsiębiorczości i zagranicznych kapitałów. Musimy go sami, własnym głównie wysiłkiem rozwijać. A do tego brakuje nam dziś nietylko kapitałów, lecz i przedsiębiorczości. Obudzenie indywidualnej przedsiębiorczości, wytworzenie nowej warstwy drobnych i średnich przemysłowców, wykształcenie własnych naszych eksporterów, umiejących zdobywać dla siebie zaufanie na rynkach zagranicznych, — to nie mniej ważne zadanie naszej polityki ekonomicznej od powiększania zasobu pieniędzy i kapitałów kraju.

Na nic są nam wzory hitlerowskie. Niemcy w drugiej połowie XIX wieku rozwinęły u siebie raczej nadmiar indywidualnych inicjatyw, zarówno przemysłowych, jak literackich, naukowych, politycznych. Dzięki temu w ciągu paru dziesięcioleci dorównały one swą twórczością i potęgą Francji i Anglji. Ale równocześnie wytworzyły nadmierny na wszystkich polach swego cywilizacyjnego życia pęd do wielkości, rozwinęły zbytnio wielki przemysł kosztem średniego, wielkie miasta kosztem wsi i drobnych miasteczek, wielkie kartele i koncerny kosztem indywidualnych przedsiębiorstw, wielkie pożądania klasowe olbrzymich związków robotniczych z jednej, a rozporządzających olbrzy-

miemi kapitałami związków przedsiębiorców z drugiej strony — kosztem umiarkowania stanu średniego.

I może dziś być zbawczem dla Niemiec ujęcie mocno w cugle tego ogromu indywidualnych pomysłów, wynalazków, organizacyjnych i gospodarczych inicjatyw, by skierować je wszystkie ku jednemu jedynemu celowi: hegemonji rasy niemieckiej w Europie.

Ale my przerostu indywidualnej przedsiębiorczości nie mamy. Wręcz przeciwnie — ideałem 99 setnych naszej młodzieży jest posada*, zasiedzenie miejsca, a nie pęd ku górze twórczym swym wysiłkiem.

Niema czego ujmować u nas w cugle. To też naprawdę nasz etatyzm, zamiast kierować naszą przedsiębiorczością, coraz częściej ją zastępuje przez biurokratyczną administrację państwową.

I przeciwko temu słusznie podnoszą sprzeciw wszyscy niemal u nas ekonomiści.

Ale mamy w historji przykłady daleko posuniętej ingerencji państwowej, której celem było właśnie wzmożenie w swym narodzie indywidualnych inicjatyw.

Tego rodzaju interwencję propagował swego czasu

---

* Część naszej młodzieży głośno żąda dla siebie władzy i chleba. Ale chleb ten chce zdobyć sobie nie przez zakładanie nowych warsztatów pracy, jeno przez upaństwowienie fabryk akcyjnych z obcym kapitałem. Oczywiście upaństwowienie to zapewniłoby dużo nowych posad.

List w Niemczech, a następnie wprowadził ją w czyn Bismarck. Tego rodzaju interwencji domagał się o dwieście lat wcześniej Montchretien we Francji, a wprowadził ją w życie Colbert, tego rodzaju inicjatywę rozwijał u nas Lubecki.

Jeśli pod gospodarką planową mamy rozumieć upaństwawianie i biurokratyzowanie życia gospodarczego — broń nas Boże przed nią.

Ale musimy jasno z tego zdać sobie sprawę: automatyczny rozwój i postęp gospodarczy wszystkich krajów dzięki światowej ekspansji kapitalizmu i międzynarodowej współpracy ekonomicznej skończył się, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo. Dziś tylko ten naród będzie się dźwigał w górę, a nie spadał w dół, który opracuje sobie obliczony na daleką metę konsekwentny plan swej gospodarczej polityki. A plan taki przeprowadzać może tylko państwo.

Byle nie tłumiło ono energij indywidualnych — lecz wyzwalało je i potęgowało.

W XVII w. merkantylna polityka zarówno ministrów Króla-Słońca we Francji, jak i rewolucyjnego dyktatora Anglji, przedewszystkiem jednoczyła wysiłki i dążenia nowonarastających przedsiębiorstw kapitalistycznych dla niezmordowanej, konsekwentnej walki o ekspansję na rynkach międzynarodowych i dodatni bilans handlowy. Zmuszała też ona niejedno-

krotnie społeczeństwo do dużych ofiar dla zapewnienia zwycięstwa w tej walce. Lecz każde rozszerzenie zbytu dla produktów krajowych na rynkach zagranicznych, każde zwiększenie zasobów pieniężnych społeczeństwa — otwierało przed indywidualnemi inicjatywami przedsiębiorczemi rozleglejsze pola działania i dawało im do dyspozycji coraz więcej środków potrzebnych dla zdobycia powodzenia. A przytem, żądając od kupców i przemysłowców czynnego współdziałania z handlową i przemysłową polityką państwa, kierownicy polityki ekonomicznej drugiej połowy XVII wieku, zarówno w Anglji jak we Francji, oraz w Niderlandach, starali się usilnie, by wszystkie organa władzy państwowej współdziałały jak najgorliwiej z kupcami i przemysłowcami, starającymi się o zdobycie jak najsilniejszej dla siebie pozycji na rynkach międzynarodowych.

Była to naprawdę polityka jednoczenia indywidualnej ekspansji poszczególnych przedsiębiorstw z gospodarczą i mocarstwową ekspansją całego narodu i państwa. I dlatego właśnie kładła ona trwałe fundamenty pod prymat nietylko ekonomiczny, lecz i ogólnocywilizacyjny północno-zachodniej Europy w ciągu całego XVIII, XIX i początków XX wieku.

Ale po naprawdę wielkim królu, jakim był Ludwik XIV, który swą własną chwałę i świetność swego tro-

nu opierał na wydobywaniu z narodu jak najwięcej samodzielnej twórczości — przyszedł mały i małostkowy Ludwik XV, nadewszystko lubujący się w poniżaniu innych. I wraz z nim przyszły rządy policyjne, tłumiące wszelką niezależną myśl i inicjatywę. To też przygotowywały one rewolucję.

Dziś, gdy po stu latach międzynarodowej współpracy gospodarczej świat wraca znowu do podobnej, jak w czasach merkantylizmu, walki o międzynarodowe rynki zbytu, czynne bilanse handlowe i płatnicze, oraz rozdział złota między państwami, i gdy w tej walce z konieczności rzeczy muszą narodom przewodniczyć ich rządy — dziejowa ta przestroga nabiera szczególnego znaczenia.

Rządy Ludwika XV kierowały się temi samemi zasadami polityki merkantylnej, co rządy Ludwika XIV. Pomimo to wyniki obu tych polityk były wręcz odwrotne. Bo wręcz odmiennie stosowały one te zasady.

Skutki „gospodarki planowej" w części tylko zależą od jej programu, od ścisłości wyliczeń i trafności przewidywań, na których się ona opiera.

W równym, jeśli nie wyższym jeszcze stopniu, o jej powodzeniu decyduje sposób jej przeprowadzania, potęgujący lub tłumiący istniejące w narodzie inicjatywy twórcze, ambicje zawodowe i energje zbiorowe.

Nie potrafi dokonać żadnej wielkiej rzeczy, zarówno na polu polityki ekonomicznej jak mocarstwowej, rząd, który nie zdoła wywołać w narodzie szczerego, prawdziwego entuzjazmu dla swych poczynań i wiary w głoszone przez się hasła.

Nie potrafi on nawet należycie przeprowadzić wielkich robót publicznych. Bo gdy kierownicy tych robót będą widzieli w nich jedynie sposobność do zarobienia nieco grosiwa, gdy rolnicy, którym będzie się grunta meljorować, będą się przedewszystkiem obawiać egzekucyj rat, jakie wypadnie im już po paru latach płacić za te narzucone im przez władze państwowe ulepszenia — to ani zamierzone meljoracje nie zostaną należycie wykonane, ani nie będą potem w pełni zużytkowane.

I niewiele pomoże najlepiej nawet pomyślana reforma podatkowa, jeśli nie zmieni się panujące dziś u władz skarbowych traktowanie każdego podatnika, jako osoby podejrzanej o chęć oszukania państwa.

Przełamanie panującego dziś nad całem naszem życiem społeczno-gospodarczem zastoju wymaga wielkiego twórczego wysiłku ze strony całego narodu, zarówno ogółu obywateli jak i wszystkich władz państwowych.

Jeśli wysiku tego nie będzie — nie pójdzie w ślad za wzrostem obiegu pieniężnego wzrost realnych rów-

…ochodów, reflacja przemieni się szybko w obniżającą wartość pieniądza inflację.

Ale twórczość nie zjawia się na rozkaz. Rodzi ją tylko wiara w jakiś ideał i ambicja ziszczenia go.

Pałka jednak policyjna wybija z głów obywateli ideały, a bizantyjskie metody wychowawcze niszczą wszelką szlachetną ambicję.

Drogę wyjścia z obecnej naszej biedy trzeba zacząć od gruntownej zmiany dzisiejszego stosunku władz państwowych do społeczeństwa. Sama współpraca z rządem nie wystarczy. Musi ją uzupełnić współpraca również rządu z narodem. By przełamać kryzys ekonomicznego naszego życia, trzeba nasamprzód przełamać wzajemną nieufność, dzielącą dziś społeczeństwo od rządu, a rząd od społeczeństwa.

Oczywiście rząd sam musi zdecydować, czy chce tę tylko po sobie pozostawić w przyszłych pokoleniach pamięć, że umiał się długo trzymać u władzy, czy też ma większe dziejowe ambicje.

Ale prawem i obowiązkiem ekonomisty jest to powiedzieć, że dla przeprowadzenia wielkiego programu ekonomicznego nie wystarczą siły samej tylko administracji państwowej, ani bierny posłuch ludności. Bo do pracy i walki o realizację jego musi stanąć całe społeczeństwo — a o zwycięstwie w walkach ekonomicznych, tak samo jak i w walkach orężnych, rozstrzyga siła moralna.

TREŚĆ

40

x·rite colorchecker CLASSIC

mm